

Muzeum Tatrzańskie im. dra Tytusa Chałubińskiego, Zakopane, Krupówki 10, tel. 52-05 (z biegiem lat przyrastały kolejne cyferki, teraz jest dziewięć, nie licząc wewnętrznych), to jedyna instytucja, jaką kochałem.

Zatrudniłem się tam, dumny i przejęty, w 1967 roku, skutkiem przedziwnego splotu wydarzeń – jakbym Pana Boga za nogi złapał. Po czterech latach złożyłem jednak wypowiedzenie, bo nie dało się dłużej wytrzymać w tym zwariowanym grajdole. Lecz uczucie trwało. Posłużyć się przerośniętą w stylu trzeciorzędnego tatrzańskiego poety: moja miłość do Muzeum Tatrzańskiego jest jak woda w Dolinie Kościeliskiej. W latach młodości wila się stokami Ciemniaka pośród kwiatków i skał, rosła, rosła, zlewała z innymi potokami, względnie ciekami wodnymi (tak mówią naukowcy, że też im nie wstyd), aż zapadła pod ziemią, ślad po niej zaginął, lecz tylko pozornie, bo po latach wychynęła niczym wywierzynisko pod Pisaną Skałą, a teraz płynie środkiem doliny, zbierając dopływy, inaczej nazwana, choć wciąż jest tym samym potokiem. Patrząc z oddalenia i cieszy mnie, że moja młodościowa miłość trafiła w dobre ręce, dochowała się wnuków, jest zadbana i ma się znacznie lepiej niż wtedy, gdy chciałem z nią związać swój los.

Pierwszy raz zobaczyłem Muzeum Tatrzańskie, gdy miałem dwanaście lat. W Bukowinie dorośli wciąż mówili o Zakopanem, a mnie było przykro, bo nigdy tam nie byłem, więc jak tylko przyjechała Mama i zapytała, na co miałbym ochotę, wydukałem, że chciałbym zobaczyć Zakopane. Zabrała mnie na całutki dzień. Do Poronina autobusem, z Poronina do Zakopanego pociągami, bo taniej. Cały dzień z Mamą, Mama tylko dla mnie, jejku. Zdobyliśmy Nosal, potwornie stromy, niebotyczny, skalisty szczyt. Nic a nic się nie bałem, no, może trochę, tak w sam raz; przecież nigdy wcześniej nie patrzyłem w przepaść, mając przed nosem czubki smreków, szyszki na nich wisiały, a pod nimi, na dnie doliny, ulica, którą szliśmy przed godziną.

Muzeum wywarło na mnie silne wrażenie, zwłaszcza wnętrze drewnianej chaty, ustawione w środku murowanego budynku. Znałem bukowiańskie chałupy, ale były one – w porównaniu do tej muzealnej izby – nie dość góralskie, różnica natychmiast rzuciła mi się w oczy. Więc – prosty wniosek – tę muzealną ktoś musiał fachowo podgórszczyć, zgórszczyć, ugórszczyć. W ten sposób dowiedziałem się o istnieniu nauki zwanej etnografią i pomyślałem, że być etnografem, poprawiać góralszczyznę, uszlachetniać ją i strzec... Dla czegoś takiego warto poświęcić życie. Tak oto dość wcześnie, jak to się wówczas mówiło, połknąłem bakcyła. Nie pozbyłem się go do dzisiaj, choć organizm broni się jak może, wytwarza przeciwciała.

Na pierwszym piętrze wydałem okrzyk zachwytu i przerażenia na widok wypchanego niedźwiedzia.

ANTONI KROH

Muzeum Tatrzańskie – moja pierwsza i ostatnia miłość

W Bukowinie dorośli często opowiadali o niedźwiedziach. Bałem się, że taki potwór nagle zastąpi mi drogę albo podejdzie pod płot i co wtedy zrobić? Teraz stoję oko w oko z niedźwiedziem, szczerzy zębiska, wyciąga pazury, a przecież jestem bezpieczny. Uznałem, że otrzymanie posady w Muzeum Tatrzańskim to absolutny szczyt tego, co człowiek może w życiu osiągnąć, a dyrektor... Idziemy Krupówkami, Mama mówi: „Zobacz, ten starszy pan w pumpach to Juliusz Zborowski, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego”. Jakbym patrzył na żywego Kopernika albo Chopina.



Juliusz Zborowski, fot. Władysław Werner, archiwum MT.

*

Byłem na piątym roku etnografii, gdy przypadkiem spotkany kolega napomknął, że w Muzeum Tatrzańskim mają wolny etat. Jeszcze tego wieczoru siedziałem w pociągu. Osobowym z Warszawy do Zakopanego jechało się kilkanaście godzin. Rano w barze mlecznym pokrzepiłem się kawą zbożową i bułką z plasterkiem żółtego sera (na supkę pomidorową, z której słynął ów bar, było jeszcze za wcześnie), po czym stanąłem przed obliczem pani dyrektor. Mówiła z delikatnym lwowskim zaśpiewem, co uznałem za dobry omen.

Zostałem młodszym asystentem. Moje nowe stanowisko wymagało opanowania podstawowej wiedzy fachowej. Zacząłem więc pilnie się dokształcać, bo studia, hmm... Choć i tak byłem w znacznie lepszej sytuacji od koleżanki z zachodu Polski, która obroniła pracę magisterską o tradycyjnym pożywieniu Indian Nawaho, po czym zatrudniła się na Rzeszowszczyźnie, nie mając pojęcia o tamtejszym regionie, jego problemach narodowościowych, stosunkach wyznaniowych, najnowszych dziejach, a nawet putniach, kierniach i cebrzykach.

Skoro już byłem pracownikiem muzeum, należało je gruntownie poznać. Wybrałem się więc do Chaty (niektórzy mówili: Willi) TEA, przy Bulwarach Słowackiego, oddziału MT, obejrzeć zbiory Szymańskich. Szło się brzegiem potoku Bystra, obudowanego idiotycznym kamiennym korytem. Niejeden turysta wpadł tam w pułapkę – chcąc się ochłapać, niebacznie stanął na oślizgłych glonach, wartki prąd podciął nogi, uchwycić się nie było czego, wlokło cepra kilkadziesiąt metrów albo dalej. Zamiast zdobywać góry i młodą piersią chłonać wiatr, trzeba było leczyć poobijane gnaty. Ten potok opisała Antonina Leńkowa w książce *Oskalpowana ziemia* (1961), podając za przykład bezmyślnej dewastacji środowiska. Autorkę obwiniono o szkodnictwo gospodarcze (jako jedna z pierwszych w Polsce pisała o ciemnych stronach industrializacji), straszono więzieniem.

Doktor Stefan Szymański z Warszawy w 1919 roku kupił chałupę bezrolnego hamernika, by pomieścić w niej swe podhalańskie zbiory. Nazwał ją TEA, od imion matki, Teodozji Anny. Dzięki swym kontaktom z góralami, niekiedy bardzo serdecznym, uzupełniał kolekcję. Zmarł w 1942 roku. Właścicielem kolekcji został jego brat Tadeusz, który w 1951 roku przekazał zbiory Muzeum Tatrzańskiemu.

W latach 60. mieszkała tam pani Janina Szymańska. Oprawdzała turystów w kilku językach, uczyła się kolejnych. Spytałem o fotografię mężczyzny wiszącą między oknami w białej izbie. Włosy do ramion jak Sabała, gęśliki, staroświecka koszula ze zgrzebnego płótna, kłobuk, serdak. Wyjaśniła, że to pan doktor, twórca kolekcji. Lubił przyjeżdżać do Zakopanego i przebierać się w stare portki, a upozował się na Saba-

łę z pomnika, żeby było absolutnie po góralsku. W Warszawie organizował góralskie wieczornice, opowiadał gadki, śpiewał, przygrywał.

– Proszę pani, czemu on to robił, dlaczego się przebierał?

– Trzeba by jego spytać. Ale cóż, nie żyje.

– A te długie włosy?

– To przecież peruka, młody człowieku.

Pani Szymańska powtarzała gościom, że doktor nazywany był Tytusem Chałubińskim Polski Niepodległej. – Któż go tak tytułował – pomyślałem. – Przyjaciele i rodzina, żeby mu sprawić przyjemność. I słusznie: obaj lekarze ftyzjatrzy, obaj miłośnicy Tatr i folkloru, obaj turyści górscy. Różniło ich to tylko, że pierwszy był prekursorem, a drugi epigonem.

TEA cieszyła się międzynarodową renomą. Pani Szymańska opowiadała, że jakiś Japończyk specjalnie wybrał się do Zakopanego zwiedzić sławną kolekcję, biegał po dworcu autobusowym, pokazywał na prawo i lewo kartkę CHATATEA, ludzie mieli zabawę, aż dopiero któryś taksówkarz pojął, że to nie po japońsku, i go przywiózł.

W przekonaniu zwiedzających TEA była typową góralską chałupą, cudem zachowaną. Mało kto sobie uzmysławiał, że kolekcja obrazowała nie tyle dawną góralszczyznę, co stosunek inteligentów do podhalańskiej kultury ludowej – i dlatego tak się podobała. Wystawiono eksponaty atrakcyjne, estetyczne, nie zaś typowe dla biednej, hamernickiej rodziny. W XIX wieku takie wnętrza istnieć nie mogło. Szymańskiego, jak wielu innych miłośników i znawców, najwyraźniej nie interesowała kultura ludowa widziana od strony jej twórców i uczestników. Nie traktował wnętrza izby jako zespołu znaków określających stopień zamożności, pozycję społeczną, stosunki rodzinne i kulturę duchową mieszkańców. TEA była nagromadzeniem rzeczy pięknych albo ciekawych. Podobna proporcja dawała się zresztą zauważyć w zbiorach głównych Muzeum Tatrzańskiego – ponad czterysta pięćdziesiąt obrazków na szkło, około czterystu misternie ryzowanych łyżników, stroje, ale prawie zupełny brak tradycyjnych narzędzi rolniczych, środków transportu, przedmiotów związanych z tkactwem, zbieractwem czy obróbką drewna.

W białej izbie, która była ekspozycją muzealną i mieszkaniem pani Szymańskiej, nad łóżkiem wisiały kajdany.

– To są kajdany na zbójnika.

– Proszę pani, a jak pan doktor je zdobył, skoro kolekcja powstawała w latach 20. i 30., gdy zbójnictwa od dawna nie było?

Pani Szymańska spojrzała ze zdziwieniem. Cóż za pytanie.

– Obstałował u kowala, jakże inaczej.

Obok kosa.

– Spod Raclawic – wyjaśniła pani Szymańska. Więcej nie pytałem. Powieszenie na ścianie kosy spod

Raławic, nieważne czy autentycznej, było chwalebny, patriotycznym gestem. Kto tego nie rozumie, niczego nie wie o tamtych czasach.

I głównie te kajdany spowodowały, że zainteresowałem się inteligentką legendą neozbójnicką. Napisałem artykuł, wysłałem do kwartalnika „Polska Sztuka Ludowa”, zaproszono mnie na rozmowę. Zasiadli kołem: pan Aleksander Jackowski, pani Jadwiga Jarnuszkiewiczowa, pani Anna Kunczyńska, zresztą zakopianka, pan Jacek Olędzki – same tuzy. Serdeczni, życzliwi, pochwalili, owszem, interesujące, ale tu nieścisłość, tu przeoczenie, tam zbyt skrót myślowy. Na kiedy poprawię, bo chcieliby dać do najbliższego numeru. Umordowałem się, uszarpałem, solennie postanawiając, że już więcej niczego nie napiszę.

*

Zaglądałem do chaty dość często, zwłaszcza gdy w muzeum zjawiał się jakiś szczególny gość i trzeba go było dokądś zaprowadzić, żeby się pozachwycił.

Panią Szymańską od czasu do czasu zastępowała jej siostrzenica, Maria Tworkowska, plastyczka, na stałe mieszkająca we Francji. Nauczyła się oprowadzania od ciotki, opowiadała te same anegdoty, w tych samych miejscach, tymi samymi słowami, nawet tak samo intonując, bardzo mnie to bawiło. Nagle zaczęły o niej pisać wszystkie gazety, w związku z tak zwanym procesem taterników. Zaangażowała się w przeczucie przez Tatry paryskiej „Kultury” i innych zakazanych wydawnictw, wpadła, dostała trzy i pół roku, wyszła w 1971 z amnestii. Jej mężem był Jacek Winkler, dziennikarz i fotoreporter, partyzant w czasie wojny afgańsko-radzieckiej. Zginął w 2002 roku na wspinaczce w masywie Mont Blanc. Od niedawna baza Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie nosi jego imię. Pani Tworkowska zaś, jak wyczytałem w Internecie, nadal mieszka we Francji, zajmuje się promocją Europy Wschodniej.

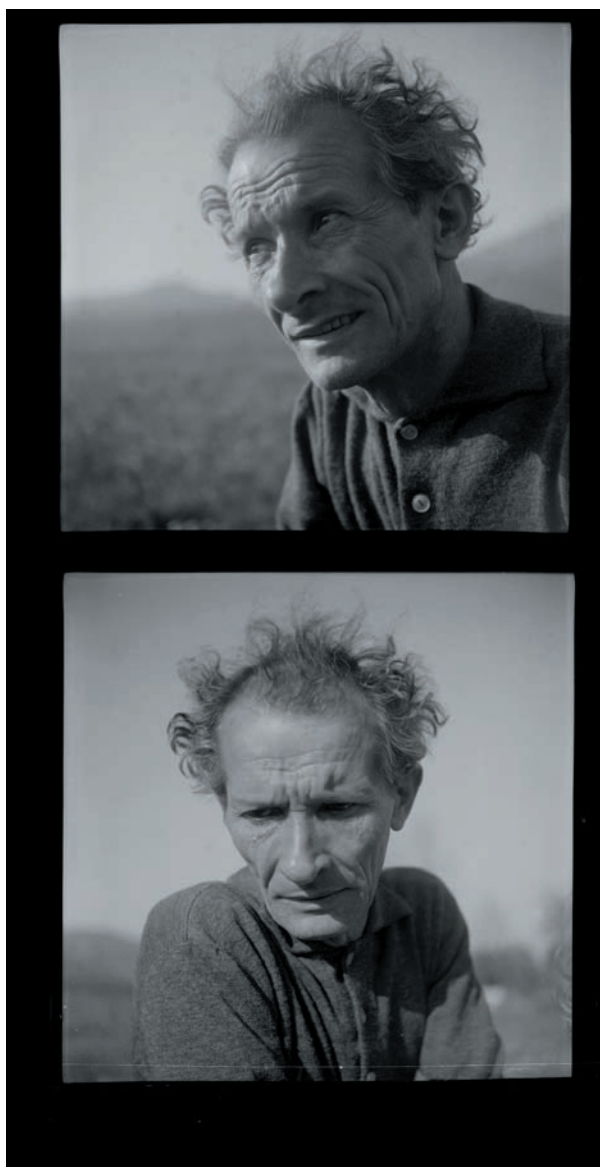
Gdzie TEA, gdzie Paryż, gdzie Alpy, gdzie Afganistan. Jak to gdzie? Pod Nosalem.

*

Państwo Szymańscy ofiarowali zbiory Muzeum Tatrzańskiemu, ale chałupa pozostała ich własnością. Gdy więc Janina Szymańska rozchorowała się obłożnie, zapisała ją w testamencie ludziom, którzy mieli się nią opiekować w trudnych chwilach. Niebawem trzeba było z dnia na dzień zabierać kolekcję i likwidować oddział muzeum. Nie obyło się bez awantur.

Poszedłem tam niedawno, zimą 2012 roku. Chałupa stała, ale wyglądała na pustą, nie było śladów na śniegu. Można podejrzewać, że właściciele czekają, aż się rozpadnie, zostanie cenna działka, będzie można ją sprzedać za grube pieniądze.

*



Antoni Rząsa, fot. Halina Rząsa, archiwum Galerii Antoniego Rząsy.

Trzeba się było nauczyć reguł postępowania, opłacać środowiskowy język. Przyszedłem do pracy na początku stycznia, gdy jeszcze nie przebrzmiały echa grudniowego sukcesu pana Kazia, który kończąc stary rok, uciekł z pieniędzmi, kupując bodaj dziesięcioletni zapas wycieraczek, szczotek takich i owakich, ścierek, drabin, prostych narzędzi, choć były nie do zdobycia.

Przyznali nam środki z paragrafu zbiory, musimy z nimi uciekać, bo przepadną – znaczyło, że należy jak najszybciej wydać pieniądze przeznaczone na zakup eksponatów. Jeśli nie uczynimy tego w wyznaczonym terminie, najczęściej bardzo krótkim, to nam odbiorą, a w przyszłym roku nie dadzą. Lecz w Zakopanem żyło wielu artystów, dzięki czemu można było szybko i sprawnie wydać pieniądze, gdy je niespodziewanie przyznali. Pani Helena Średniawa zabrała mnie do pracowni Antoniego Rząsy, świetnego rzeźbiarza.

Wybrali ekspresyjną, czarną Pietę. Za rzeźby płacono według cennika Związku Polskich Artystów Plastyków, od wysokości. Wysokość od do – tyle złotych. Otóż Pieta była o kilkanaście centymetrów za niska, żeby uciec z całą kwotą. Pan Rząsa, korzystając z dobrej rady, sprawnie wymienił deskę, podstawę rzeźby, na grubą kłodę. Stałem i gapiłem się melancholijnie – ów kłoc wart był mniej więcej tyle, co moje kilkumiesięczne pobory. Zresztą Pieta naprawdę na tym zyskała – to wydzwignięcie uczyniło ją jeszcze bardziej ekspresyjną, a naturalna chropowatość kłody zmieniła się w sugestywną fakturę. Znawcą powiedziałby, że współgra z bryłą. Góral podścielił końską derkę, żeby nie uszkodzić siedzenia, posadziliśmy Pietę, dorożka ruszyła, pan Rząsa stał pośrodku drogi i tęsknie patrzył, bo bardzo nie lubił rozstawać się ze swoimi pracami. Podtrzymywałem cenny nabytek jak mogłem, zaś pani Średniawa powtarzała raz po raz, żebym uważał, bo może spaść, więc lepiej, żeby nie spadła, bo jak spadnie, to co wtedy. Tak jechaliśmy ulicą Kościeliską, mijając zabytkowe chałupy i stary kościółek, Pieta wznosiła się nad nami, płynęła w powietrzu, ludzie przystawali, scena jak z filmu.

Środki były „na paragrafach”. „Mamy na paragrafie [numer]” znaczyło, że pieniądze można wydać tylko na to i nic innego, czyli uruchomić z paragrafu fundusz osobowy, fundusz bezosobowy lub środki trwałe – innych nazw nie pamiętam. Szkoda, bo po tylu latach nabrały wdzięku i można by się nimi pobawić. Kilka-naście, może dwadzieścia kilka paragrafów. Posługiwało się głównie numerami, każdy znał je na pamięć, natychmiast chwycił w czym rzecz – wyjąwszy mnie, bo stałem nisko w hierarchii, między bytem a niebytem, więc dzięki Bogu nic ode mnie nie zależało i nie musiałem o niczym decydować. Co jakiś czas odbywało się przerzucanie środków na inny paragraf, trudne i nerwowe, nie pojmowałem subtelności z tym związanym, choć byłem mimowolnym świadkiem wielu dyskusji – jak postąpić, żeby legalnie zrobić to, czego robić nie wolno.

Jakże tu zresztą opowiadać o bazie, skoro byłem samą nadbudową, finansowym kosmitą, jeźdźcem znikąd, czy jak to inaczej nazwać. Nie wiem, z czego tam żyłem. Przecież nie z pensji – etat w dziale etnografii, który mnie dowartościował na całe życie, przechwalałem się nim, gdzie tylko mogłem, był grubo poniżej minimum socjalnego, wynajęcie pokoiku pochłaniało połowę poborów, czasem więcej; na życie pozostawała suma stanowiąca równowartość kilkunastu obiadów w barze mlecznym. Wyjadałem pani Średniawie dżem, bo stał na wierzchu. Nigdy mi nie wypomniała, choć nie mogła nie zauważyć, cześć jej pamięci. Staralem się zachować umiar – podjadałem nie więcej niż trzy łyżeczki co kilka dni.

Wstyd przyznać, ale od czasu do czasu wspomagała mnie Mama.

Niekiedy trafiała się fucha: przymyt sprzętu taternickiego albo przepisywanie na maszynie. Oczywiście na służbowej maszynie i służbowym papierze, w godzinach pracy.

W ciągu czterech lat pobytu w Zakopanem przeprowadzałem się sześć razy. Wolnych pokoi było pełno, ale dla turystów, na tydzień-dwa. Gdy gospodyni słyszała, że mam tu pracę i chcę wynająć na dłużej, ucinała rozmowę. Kiedyś Ciocia Jadzia narażała mi swoją przyjaciółkę, która miała na Skibówkach drewniany domek, ale wybierała się do córki do Wiednia i szukała kogoś, kto jej tego domku będzie przez półtora roku pilnować. Coś dla mnie! Zadzwoń, umówię się, wchodzę. Smród w mieszkaniach mi nie dziwny, ale... Gospodyni, emerytowana nauczycielka, hodowała trzydzieści kilka kotów. Każdy miał imię, dramatyczny życiorys, kulinarne wymagania oraz problemy zdrowotne. – Musi pan to zanotować i nauczyć się na pamięć, za tydzień przepytam. Jeden kot usiadł mi na ramieniu, dyskretnie dmuchnąłem mu w nos, wielce się zdumiał, ale zeskoczył, drugiego już miałem na kolanach, patrzę w lewo – kot, w prawo – kot, na kredensie kot, na kanapie kot. Pani się łaskawie zgadza, żebym mieszkał w jej domku przez półtora roku całkiem gratis, jedynie płacąc rachunki i opiekując się kotami, w razie czego wzywając weterynarza. Będą mnie odwiedzać jej przyjaciółki, również emerytowane nauczycielki, by mieć baczenie i słać raporty do Wiednia.

*

Autorzy świetnej wystawy Muzeum Tatrzańskiego *Zakopiańczycy. W poszukiwaniu tożsamości*¹ przypomnieli, pośród wielu innych legendarnych postaci drugiej połowy XX stulecia, Zbigniewa Korosadowicza i jego psa. Wyszperali fotografię, na której dwaj serdeczni przyjaciele przystanęli w malowniczym miejscu i kontemplują panoramę Tatr. Rozumieją się bez słów, dobrze im ze sobą, to widać. Korek (tak nazywano go w Klubie Wysokogórskim), jak zwykle z fajką, ustawił się na tle poświaty zachodzącego słońca, pies także ze światłem w kudłach. Korek ma pustawy plecak, zwój liny przez ramię. Po cóż wziął linę na spacer z psem? A jeśli nawet, to czy nie lepiej było wsadzić ją do plecaka? Lecz autor zdjęcia, Zbigniew Kamykowski, znał swój fach. Lina to atrybut, jak lilia, kielich czy armata na wizerunku świętej Barbary albo takąż lilia względnie osioł obok świętego Antoniego.

Pies Korosadowicza, owczarek podhalański, to był unikat. Wyjątkowo dorodny, potężny. Heros. Gdy zakończył życie, pan dał go wypchać i chciał ofiarować Muzeum Tatrzańskiemu. Między panią Średniawą a panią Wrońską, kierowniczką działu przyrodniczego, doszło do zdecydowanej wymiany poglądów – pani Średniawa twierdziła, że pies to zwierzę, więc przyroda; pani Wrońska przeciwnie – owczarek to pies pasterski, etnografia. Oba twierdzenia były słuszne; cóż,

kiedy służyły przeciwnym interesom i nie dawały się pogodzić. Owo piękne bydlę nieprzeciętnej postury zajęłoby sporo miejsca w magazynie, gdzie i tak panowała straszliwa ciasnota, oraz wymagało specyficznych zabiegów, stąd ów naukowy spór, jeden z najzagorzalszych i najdłuższych podczas mojej pracy w muzeum. Nie pamiętam, czym się zakończył. Obawiam się, że pies nie został przyjęty do zbiorów i Korek musiał przełknąć kolejne upokorzenie. A miał ich w życiu niemało.

Zbigniew Korosadowicz był jednym z najwybitniejszych taterników lat 20. i 30. W czasie wojny na żądanie władz okupacyjnych zorganizował i prowadził TOPR, pod urzędową nazwą Tatra-Bergwacht. Na stałe mógł zatrudnić garstkę ratowników, ale wystawił wielokrotnie więcej legitymacji służbowych. Taki dokument był na wagę życia – chronił od wywózki na roboty, ulegał ludzi idących w góry. Oczywiście nie trudno było wpaść, Korek szalenie ryzykował. Podjął grę z okupantami, wydał jakieś niemiecko-polskie foldery turystyczne. Po wojnie mu to obrzydliwie wypoiminano, chociaż wiele osób było mu winnych dozgonną wdzięczność, a niejednemu Pogotowie uratowało życie.

W lutym 1945 roku kierował jedną z najtrudniejszych akcji w historii TOPR – wyprawą po rannych partyzantów radzieckich do Doliny Zuberskiej, częściej zwaną „akcją na Zwierowce”. Ratownicy, w skrajnie złych warunkach pogodowych, przekradając się pod nosem niemieckich posterunków, przeszli z doliny Chocholowskiej do szałasów na stokach Brestowej Kopy, skąd zwieźli toboganami czterech ciężko rannych i troje wyczerpanych sanitariuszy do Zakopanego. Aż do połowy lat 60. teksty i film² o tej wyprawie sławiły ratowników, usuwając w cień człowieka, który ich prowadził, na co zwróciła mi uwagę Różyczka, czyli Róża Drojecka. Guzik bym wiedział o wielu sprawach, gdyby nie ona. Różyczka to był mój prawdziwy dział oświatowy.

Opowiadała, że uczestnicy wyprawy na Zwierówkę zostali zaszantażowani – poszli, bo obiecano im wywózkę na białe niedźwiedzie. Nie jestem w stanie sprawdzić tej informacji, ale słyszałem ją kilkakrotnie, powtarzaną półgębkiem.

Błękitny krzyż oglądałem w warszawskim kinie. Byłem wtedy nastolatkiem stęsknionym za Podhalem, nartami, prawdziwym śniegiem. Przejęty, wpatrywałem się w ratowników grających samych siebie (kilka lat później próbowano odebrać im blachy przewodniczące, bo nie mieli matur). Ale najmocniej wbiła mi się w pamięć scena w szałasie. Rannemu partyzantowi trzeba było natychmiast amputować nogę, bez znieczulenia, piłką stolarską. Walcząc z niewyobrażalnym bólem, na wpół nucąc, na wpół skowycząc, zaczął śpiewać rosyjską piosenkę – i w tym momencie cała publiczność w kinie Moskwa wybuchnęła rechotem. Błę-

kitny krzyż miał być opowieścią o przyjaźni polsko-radzieckiej: oto bohaterscy zakopiańscy toprowcy, skoro tylko dotarli do nich wieść, że partyzanci radzieccy są w śmiertelnym niebezpieczeństwie... i tak dalej. Ta scena amputacji, autentyczna, nikogo nie poruszyła, natomiast zadymka śnieżna – tak. Jak to już wiele razy bywało, intencja autorów poszła w jedną stronę, reakcja publiczności – w drugą.

Zbigniew Korosadowicz znany był głównie jako autor tatrzańskich map panoramicznych. Wiedział z wieloletniej praktyki nauczyciela geografii, że w narodzie umiejętność czytania map... i długo jeszcze tak będzie. Propagował więc mapy panoramiczne, taką kartografię dla analfabetów. Któż dzisiaj przyzna, że na tych panoramach uczył się Tatr, bo mapy fizyczne były dla niego za trudne. Ja tam się przyznaję – to głównie dzięki jego panoramom zdałem egzamin przewodnicki.

Pracowałem w technikum budowlanym. Budowlanka stoi obok muzeum – miałem więc szczęście raz po raz spotykać sympatycznego starszego pana w pumpach, z nieodłączną fajką. Kłaniałem się i uśmiechałem do niego, odwzajemniał uśmiech, kilka razy zagadnął uprzejmie.

I znów go zobaczyłem, na tym wysmakowanym, starannie skomponowanym zdjęciu.

W latach 60., gdy je zrobiono, trochę fotografowałem. Idąc śladami mistrzów, starałem się inscenizować, uwydatniać rzeczywistość na zdjęciach, aby była prawdziwsza, intensywniejsza od tej zwyczajnej, jako że ludzie są na ogół tępi i tego, co mają przed nosem, nie dostrzegają, trzeba im pokazywać palcem. W znajomej zagrodzie mieszkała babka o pięknych siwych



Róża Drojecka, fot. Zbigniew Kamykowski, archiwum MT.

włosach, zaciętym spojrzeniu i żyłastych rękach powykęcanych reumatyzmem. Bardzo mi się podobała, takie ręce w fotografii artystycznej to jak korzenioplastyka w rzeźbie amatorskiej. Był gorący letni dzień, ostre słońce, wyprowadzili babkę z izby, ustawiłem krzesło pod ścianą tak, żeby placek po odkruszonym tynku błyszczał nad jej głową niczym aureola; ręce na kolanach, słońce pod takim kątem, żeby wyszły wszystkie zmarszczki na twarzy, a oczodoły stały się wyraziście czarne. Babka była świetną modelką. Najprawdopodobniej nie wiedziała, co się dzieje i po co to wszystko. Niedługo potem oddali ją do przytułku. Zakończyła życie w romantycznych okolicznościach. Rozmawiała o wiele dłużej niż wypadało, raz, drugi, z jedynym mężczyzną na sali, obiektem powszechnej kobiecej adoracji. Główna rywalka poczuła się zagrożona, zaszła od tyłu, pacnęła czymś ciężkim. Babka padła trupem, a jej morderczyni po chwili także nie żyła. Prokuratury nie zawiadomiono, bo co tu wyjaśniać; lekarz pośpiesznie wystawił dwa świadectwa zgonu. Pochowano je obok siebie, za jednym zamachem. Ich Apollo westchnął nad świeżą mogiłą:

– Głupie baby.

*

Różyczka imponowała mi niezależnością, ciepłą ironią, przenikliwą inteligencją, świeżym spojrzeniem na sprawy oczywiste. Starsza o czterdzieści lat, była dla mnie skarbnicą wiedzy o dziejach taternictwa, kultury zakopiańskiej (nie tej książkowej), o Lwowie pod sowiecką okupacją i innych rzeczach. Miała zdolności literackie. Szkoda, że ich nie wykorzystwała.

Szybko mnie zaakceptowała, mówiła mi po imieniu. Byliśmy sobie potrzebni – ona w muzeum wreszcie miała do kogo gębę otworzyć, ja zaś lubiłem, gdy stawiała we drzwiach i monologowała oparta o framugę:

– Antosiu, żyjesz od dziecka w Peerelu, więc nie jesteś w stanie pojąć, że za pierwszych Sowietów niektórzy lwowiacy byli bliscy obłędu, gdy się dowiadawali, że mają głosować na jedną listę wyborczą, na jednego kandydata, a głosowanie to surowy obowiązek. Dla ciebie to normalne, prawda? A nam się nie mogło w głowie pomieścić, dosłownie. Komisje wyborcze były otwarte od szóstej rano do dziesiątej wieczór. Nie dziela, chcę odespać nocne wystawianie w kolejkach, ale gdzie tam. O ósmej walenie w drzwi. Milicjant i jakieś babsko. Żeby natychmiast w te pędy biegła głosować. – Jak to, jeszcze czas – odpowiadam – pójdę po południu. Oni, że chyba oszalałam, jakie po południu, czy nie wiem, że jest współzawodnictwo między punktami wyborczymi, który pierwszy osiągnie sto procent frekwencji? Bystro, bystro. Wybory jak w raj: Adamie, wybierz sobie żonę.

W gazecie wywiad z Boyem, uradowanym niezmiernie, że po zwycięskim 17 września stał się obywatelem Kraju Rad, bo tylko w tym ustroju ma pełnię

swobody twórczej, pańska Polska go prześladowała, nie mógł rozwinąć skrzydeł, a dopiero teraz, w radzieckim Lwowie... Przerażeni ludzie szepczą: jak to, Boy? Co się stało? Boy, naprawdę Boy? Nikomu nie przyszło do głowy wytłumaczenie dla ciebie najoczywistsze, że Boy żadnego wywiadu nie udzielał, jego rzekome wypowiedzi to od pierwszej do ostatniej litery nieprawda. Nikt, dosłownie nikt z mojego otoczenia nie przeniknął własnym rozumem, że gazeta może do tego stopnia kłamać, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Musieliśmy się dopiero uczyć codziennego obcowania z tym państwowym, bezwstydnym łgarstwem. Im kto był kulturalniejszy, z tym większym trudem mu to przychodziło, a niektórzy lądowali w Kulparkowie. Wiesz, co to Kulparków?

– Ależ wiem. W Warszawie Tworki, w Krakowie Kobierzyn, w Poznaniu Dziekanka, we Lwowie Kulparków. Polska dzielnicowa.

– Godzina trzecia, może czwarta nad ranem – opowiada Różyczka – sterczę w kolejce, poddrzemuję na stojąco, aż pan stojący za mną podtyka mi pod nos gazetę. „Pani spojrz”. I co widzą moje piękne, ale tym razem zaspane oczy: na zdjęciu bloki mieszkalne w centrum Lwowa, z lat 20. I podpis: nowe budownictwo radzieckie we Władystoku. Obok artykułu o dzielnych sowieckich budowniczych, najwspanialszych na świecie. „Ta na Kulparków”, powiedziałam. To było wtedy popularne powiedzonko. „Ta na Kulparków”, powtórzył i uśmiechnął się, od razu było nam raźniej.

Pracowałam w przetwórni pomidorów, smród potworny, kotły czerwonej papatochy, jeśli raz na dzień wyciągnęłam z niej i ukradłam jednego całego pomidora, to był udany dzień. Te pomidory jechały tygodniami w upale z jakiejś Mołdawii czy skądś, przyjeżdżały zgniłe, breja lała się z wagonów na tory, ale poddawano je normalnemu procesowi technologicznemu, produkt finalny wlewano do butelek, po czym wylewano, bo do niczego się nie nadawał. Lecz plan musiał być wykonany. Bo trzeba ci wiedzieć, Antosiu, że dwa najazdy w 1939 roku podzieliły Polaków na lewobrzeżnych i prawobrzeżnych. Lewobrzeżni znaleźli się pod okupacją niemiecką, prawobrzeżni pod sowiecką. Doświadczenia jednych i drugich były z gruntu odmienne, częstokroć nie mogli się porozumieć w podstawowych sprawach. Ja byłam prawobrzeżna, więc egzotyka pierwszych lat Polski Ludowej nie zaskakiwała mnie na każdym kroku; już to przebrałam.

Na Łyczakowie była cegielnia, wożono do niej glinę kilkadziesiąt kilometrów. Jakiś czubaryka odkrył glinę znacznie bliżej, wielka oszczędność, sukces władzy radzieckiej, tyle że ta bliższa glina była do niczego, cegły rozsypywały się w rękach, o czym od dawna wiadano. Sowietom to nie wadziło, dla nich ważna była produkcja dla samej produkcji, nie rezultat.

Antosiu, jesteś młody, stykasz się z tym od pieluch, więc ci łatwiej. Nasze generacje tym się różnią, że myśmy mówili: „ta na Kulparków”, a wy kwitujecie pogardliwie: „normalka”.

Chyba nie pojdziesz, pewnie cię to zgorszy, z jaką radością witaliśmy we Lwowie wkraczające wojska niemieckie. Oczywiście dochodziły nas wieści o okupacji w Generalnej Guberni, ale Niemcy to jednak była Europa, nie ta potworna dzicz. Stałam na chodniku i wiato- wałam, zgoda, byłam naiwna, może się zachniesz, trudno.

Rychło doświadczyliśmy na własnej skórze, do czego Niemcy są zdolni. Uciekałam do Zakopanego.

Tatry pod okupacją niemiecką wspominam jak najlepiej. Były puste i piękne. Granicy pilnowali grenzschatze, Tyrolczycy, ludzie spokojni. Nas, taterników, traktowali wyrozumiale, nawet życzliwie. Zdarzali się również Niemcy przedwojenni alpiniści. Urywali się ze służby na dzień, dwa, spokojnie pooddychać górskim powietrzem. Z jednym nawet się wspinałam, dał mi kilkanaście oficerskich tabliczek czekolady.

Ale, drogi Antosiu, wszystko na tym świecie ma swój kres. Do Zakopanego weszli Sowietci. Idę doliną, dobrze mi, nagle zza drzewa wyskakuje bojec z pepeszą. „Kuda idiosz?”. „W góry”. „No kuda?”. „No w góry”. Temu kałmukowi nie mieściło się we łbie, że ktoś może iść w góry ot tak sobie, dla przyjemności, nie sły- szał o czymś takim. Więc szybko się nauczyłam: na grzyby, na borówki. Wtedy puści. Polska Ludowa zaczęła się dla mnie od tego pytania: „kuda idiosz?”.

Tuż po wojnie była urzędniczką od kultury w radzie miejskiej, ale szybko stamtąd uciekła. Pracowała w domach wczasowych, zaś w połowie lat 50. schroni- ła się, na moje szczęście, w muzeum.

Nie cierpiała frazesów, wszelakiej pychy, pozy. Ba- wiło ją i żenowało, wybitną przedwojenną taterniczkę,³ że stroję waźniaka, górskiego orła, chodzę po mie- ście w ciężkich wibramach, obowiązkowo ubłoconych. Pumpki, wysokie skarpety z owczej wełny, latem rów- nież, koniecznie opadające – z oczywistych względów było mi to niezbędne do szczęścia. Zwróciła uwagę – najpierw delikatnie, żartobliwie, potem rzeczowo; za trzecim razem wręczyła pastę i szczotkę. Nabyła je w tym celu. A skoro i to nie poskutkowało, dała spo- kój, uznając, że jestem pod tym względem niereformo- walny, samo mi przejdzie po pewnym czasie. Co się i stało. Lubiła mnie, razem z moimi śmiesznostkami.

Natomiast nie przepadała za panią Wandą Josto- wą, która obnosiła się ze swoimi dokonaniem, zresztą rzeczywistymi – współtworzyła i przez wiele lat prowa- dziła skansen orawski w Zubrzycy, robiła wywiady te- renowe, poszukiwania w archiwach Polski i Słowacji, publikowała. Cóż, kiedy musiała zaznaczać, że jest je- dynym naukowcem w Muzeum Tatrzańskim, co nie było mile widziane i nie wzbudzało estymy otoczenia. Na którejś naradzie, gdy omawiano przygotowanie po- pularnej broszurki, powiedziała zachęcająco do Ró-

życzki: „Niechże pani napisze, trochę wysiłku, na pew- no się pani uda!”. Różyczka jej to zapamiętała, a gdy pani Jostowej zepsuła się maszyna do pisania i narze- kała na kolejnym zebraniu, że jej sprawozdanie z po- dróżny służbowej jest pozbawione litery m, a przecież należy jej się sprawna maszyna – Różyczka mruknęła: „Niech więc napisze gwarą, omijając tę literę: Rano pojechał autobusem w Zubrzycę i godołów, godołów do odpołudnia, a pote wróciłak się w Zokopane”. Na- puszony, naukawy styl pani Jostowej, jej *pluralis maie- statis*, np. „badaliśmy wsie podbabogórskie”, „stwier- dziliśmy występowanie zjawiska”, zresztą przyjęty w publikacjach etnograficznych, opatrywała ironicz- nymi komentarzami.

Tępiła frazesy w prasie. Szczególnie uwzięła się na „białe szaleństwo” i „smakowity owoc”. Czytywała na głos korespondencje pana J. z Zakopanego, w tym ce- lu jedynie, by nazywać go idiotą, ewentualnie skoń- czonym lub bezbrzeżnym idiotą, zaś na wszelki wypa- dek, gdyby słuchacz miał w tej mierze jakiegokolwiek wątpliwości, przygważdżała kolejnymi cytata- mi. Otóż redaktor J., wieszcząc nadchodzącą zimą, nieodmien- nie pisał o amatorach białego szaleństwa, że spadł śnieg, więc się cieszą, a jeśli jeszcze nie spadł, to się nie cieszą. Różyczka czytała na głos i kolejny raz wyjaśnia- ła, że białe szaleństwo to kalka z niemieckiego, tytuł przedwojennego filmu o fascynujących wyczynach narciarskich, które mają się nijak do popisów łama- gów na oślich łączkach. Słuchałem tego z rozbawie- niem – za to Dunia, która siedziała z Różyczką biurko w biurko i w tych warunkach usiłowała pracować, do- stawiała drgawek. Zima mijała, w komunikatach pra- sowych pana J. nadchodził sezon truskawek. „W zako- piańskich sklepach pojawiły się pierwsze kobiałki tego smakowitego owocu” – donosił, chyba po to jedynie, by utwierdzić Różyczkę w jej poglądach.

Wyrzuciłbym z pamięci muzealne szkolenie bhp, czyli bezpieczeństwa i higieny pracy (rozwijam ten skrót, bo w języku młodzieżowym behape to antykon- cepcja), zwłaszcza że nauka obsługi gaśnic pianowych, czyli sikanie do celu na szkolnym boisku, ominęło mnie z powodu choroby – gdyby nie oryginalna, spo- łeczniakowska postawa pana prelegenta i riposta Ró- życzki.

W tak zwany dzień beżmieszny, gdy muzeum było zamknięte dla zwiedzających, zgromadzono wszystkich pracowników, by wysłuchali kilkugodzinnej pogadan- ki mającej na celu radykalną poprawę bezpieczeństwa i higieny pracy w MT. Siedziałem naprzeciw Różyczki i próbowałem pojąć, jak to jest, że niemłoda pani o zgorzkniałym wyrazie twarzy, w znoszonym, ale świe- żo wypranym i odprasowanym służbowym fartuchu, od pierwszego rzutu oka sprawia wrażenie osoby nieza- leżnej, obdarzonej silnym, zdecydowanym charakte- rem. Różyczka budziła respekt. Może zresztą tylko ja ją tak odbierałem.

A tymczasem prelegent pouczał, jak nie dać się oszukać Państwowemu Zakładowi Ubezpieczeń – instytucji, która go do nas delegowała, oraz jak wyłudzić nienależne odszkodowanie, gdy nadarzy się okazja.

– Szanowni państwo, jesteście objęci ubezpieczeniem na terenie muzeum oraz w drodze do pracy i z pracy. Ale proszę zapamiętać: jeśli idąc, wstąpicie do sklepu albo nawet kupicie gazetę w kiosku, a ulegniecie wypadkowi przed domem, odszkodowanie nie przysługuje. Dlatego, zeznając przed inspektorem czy wypełniając protokół powypadkowy, pamiętajcie: szliście najkrótszą drogą do pracy albo z pracy, niczego po drodze nie załatwiając, z nikim nie rozmawiając, nigdzie nie zbaczając. Rozumiemy się?

Proszę także pamiętać, że tego dnia, gdy ulegliście wypadkowi, w muzeum nie było imienin ani żadnej innej uroczystości, nie mieliście w ustach kropli alkoholu. Będą pytać podchwytliwie, czy jedliście tego dnia czekoladki. Kategorycznie zaprzeczajcie. Czekoladki bywają z rumem, a ustalanie, czy akurat te były z rumem, ile ich zjedzono i jakie to mogło mieć ewentualne konsekwencje, może potrwać wiele miesięcy.

Wypadek przy pracy ma być niewątpliwy. Przy pracy, w żadnych innych okolicznościach, rozumiemy się? W protokole najlepiej wymienić najczęściej wykonywaną czynność służbową, podczas której to się wydarzyło, i twardo się tego trzymać.

Sporządzając protokół, należy pamiętać, że pracownik PZU przede wszystkim będzie próbował ustalić, czy wypadek nie nastąpił wskutek naruszenia przepisów bhp. Wtedy nici z odszkodowania. Protokół trzeba więc fachowo sformułować. Gdy więc ktoś z państwa ulegnie wypadkowi, czego oczywiście nie życzę, służę pomocą, mój numer telefonu zostawiam w dyrekcji – tłumaczył.

Intencje pana prelegenta były dla wszystkich oczywiste, słuchacze uśmiechali się dyskretnie, ze zrozumieniem.

– Państwo pewnie są zmęczeni. Proponuję piętnastominutową przerwę, potem zrobię krótką powtórkę i zaliczę państwu szkolenie. Każdy dostanie piątkę – zażartował.

I w tym momencie odezwała się Różyczka:

– To my panu już zaliczamy i dajemy piątkę z plusem, tylko niech pan nas puści.

– A, jeśli tak, to świetnie. Dziękuję państwu.

Jesienią odbywał się Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich. Wybraliśmy się na występ zespołu włoskiego we trójkę: Różyczka, Stasio Krupski i ja. Potem wstąpiliśmy do Szarotki na kawę.

– Bardzo mi się podobało. Ten solista podobny do Garibaldiiego świetnie się ruszał. Byłby z niego całkiem przystojny chłopiec, gdyby nie te kudły na gębie (Ró-

życzka nie cierpiała brodaczy). Zgrabny, umięśniony jak należy, gibki, jeszcze nie zdążył się roztyć ani sflaczać.

Wymieniliśmy ze Stasiem spojrzenia. Różyczka zauważyła i wybrnęła z sytuacji, podnosząc głos i robiąc oburzoną minę:

– To skandal, żeby postać historyczna, przywódca rewolucji wywijał na scenie takie hopki! To niepoważne!

Śmiałem się, często to do mnie wracało, jeszcze po wielu latach. Dziękuję, Różyczko.

Ale nie zawsze zachwycała się kulturą ludową.

– Antosiu, jesteś etnografem, więc może mi z łaski swojej wyjaśnisz, po co radio nieustannie nadaje babcię Papuciową. Chciałabym to wreszcie pojąć. (Babcia Papuciowa – Różyczka nazywała tak audycje folklorystyczne, których wtedy rzeczywiście było sporo). Toż to kręcka można dostać. Dzisiaj rano znów tym raczyli. „Babciu, zaśpiewajcie co”. „A dejcie mi pokój, jo stara, nie umiem”. „Ale babciu, my wiemy, że babcia pięknie śpiewa, babciu, zaśpiewajcie co, jakąś piosenkę z dawnych czasów”. „Idźcie sobie, kochane ludzie, skądście przyszli, jo ni mom czasu”. „Ale babciu...”. „Łelele le, lelele le, lelele le, lelele le, lelele le, lelele le”. „Jak pięknie, jak pięknie, babciu!”. Antosiu, bądź tak dobry i wytłumacz mi, co wy etnografowie w tym widzicie, dlaczego to jest takie cenne.

– Przykro mi, Różyczko, ale nie potrafię tego pani wyjaśnić. Ja to kocham, i tyle.

– Och, dziękuję ci uprzejmie. Jest, jak przypuszczałam: dostaliście zbiorowego fiksum dyrdum. Nie mam więcej pytań. Ja też jako młoda panienka uwielbiałam takie durnoty. Mój numer popisowy to dziadowska ballada o Makarym i biednej *gdowie*. Znasz to?

– Nie.

– To co z ciebie za etnograf.

Zgarbiła się, podparła nieistniejącym kosturem, poczłapała kilka kroków, wyciągnęła drżącą rękę jak prawdziwy żebrak i zanosła się płaczliwie.

Z pierwszych zwrotek dowiedziałem się, że Makary był potwornym żarłokiem. Gdy pochłaniał obiad (tu szczegółowy opis), zjawiała się biedna *gdowa*, owinięta w szmaty, z dzieckiem na ręku, dopraszając się wsparcia. Makary przegnał ją precz, wdowa go przeklęła: „Bodajbyś pękł!”. Co się i stało. „Niechaj bro-ni Boska ręka widzieć, jako człowiek pęka” – zaskowytała Różyczka, łapiąc się za brzuch, jakby rozpaczliwie usiłowała zatrzymać wylewające się wewnętrznosci. I już zmierzała do puenty, z której dobitnie wynikało, że słuchanie jej popisu nie jest darmowe. Wyciągnęła rękę w proszalnym geście. Nie miałem innego wyjścia: sięgnąłem do portmonetki, dałem pięć złotych.

– Antosiu, jeśli myślisz, że ci oddam, to się grubo mylisz. Jeszcze żaden żebrak nie zwrócił jałmużny. Jak folklor, to folklor.



Harenda, Muzeum Kasprowicza, Maria Kasprowiczowa i wycieczkowicze, fot. Władysław Werner, archiwum MT.

Miała radykalne poglądy na temat Witkacego. Nazywała go grafomanem i pozerem, a ludzi, którzy się nim zachwycali, półgłówkami. Nie mówiła tego przy Duni, która już wówczas zapowiadała się na największą polską witkacolożkę, tak ją po latach tytułowano – ale takich rzeczy ukryć przecież nie sposób. Pewnego razu – opowiadała Różyczka, gdy Dunia wyszła na chwilę z pokoju – Witkacy próbował zaszokować inaczej niż zwykle, zjawił się na Krupówkach w łowickich portkach. Ktoś go zobaczył i pobiegł do lokalu, w którym siadywała artystyczna bohema, jego przyjaciele. – Słuchajcie, słuchajcie, idzie Witkacy w łowickich portkach, umówmy się, że nikt tego nie zauważy i nie skomentuje. Witkacy wchodzi, przekonany, że wywrze piorunujące wrażenie. A tu nic. Ostentacyjnie spaceruje tam i z powrotem. I nic. – No, co o tym myślisz? – pyta kogoś. – O czym? – No o tym. – O czym?

Wyszedł wściekły i dłuższy czas się nie pokazywał. Oto, drogi Antosiu, najwłaściwsze podejście do jego, za przeproszeniem, twórczości. Przecież to był przede wszystkim pozer, tyle że nikt nie odważył się tego głośno powiedzieć. Ale cóż, teraz urodzaj na takich.

Natomiast zmienił jej się wyraz twarzy, gdy ironicznie potraktowałem podhalańskie wiersze Kasprowicza. Odkryłem je właśnie, szukając motywów zbójnickich w literaturze, i skrytykowałem bez litości, z młodzieńczą dezynwolturą, nazywając wykwarem tatrzańskiej grafomanii – pewien, że Różyczka podzieli mój punkt widzenia:

Hejże, chłopcy, hej!
Z wirchów, hal i kniej!
Potokami,
Jeziorami,
Wierszyczkami,
Turniczkami,
Za orłami,
Kozicami,
Od krzaka do krzaka,
Z bucza na pniaka!
Posiejemy strach! Hej!
Zatrwoży się Lach! Hej!
Liptak skrzydła stuli,
Jak trafion od kuli
Ścierwożerczy ptak
Gdy nas w orli szlak,
Z pałaszem na przedzie,
Janosik powiedzie!
Ach!⁴

– Antosiu, czemu się wyśmiewasz, to przecież arcydzieło! Słyszysz rytm tego wiersza? To przecież melodia, rytm, nastrój tańca zbójnickiego!

– Według mnie to zbitka pustych stereotypów, poetycka łatwizna.

– Ależ co ty wygadujesz! Sam jesteś pusty stereotyp! Czy naprawdę nie słyszysz? Kasprowicz starał się oddać...

– I właśnie to jego nieudolne usiłowanie mnie śmieszy. Kochanowski nie starał się niczego oddać, tylko pisał, co czuł, a Kasprowicz się nadyma, stary grubas w pożyczonym kłobuku z piórkiem.

– A czy wiesz, jak on był uwielbiany?

– Mniszkówna i Zarzycka jeszcze bardziej, na podobnej zasadzie. A to obłędne podziwianie górali przyniosło tragiczne skutki. Na tej glebie wyrósł *Goralenvolk*.

Zrobiłem jej przykrość. Nie podjęła dyskusji, machnęła ręką i ostentacyjnie wyszła.

Innym razem zezłościła ją moja notatka w „Wierchach”. Napisałem o tomiku Stanisława Nędzy-Kubińca *Mity halne*:

„Co by zrobił Autor, gdyby zbójnicy wyskoczyli z wiersza, obrabowali mu chałupę na Nędzówce i spalili? Podhale czeka na poetę, który słysząc wiersz:

ino nie robić mątu,
nie gniewać mnie,
wyrubiem do jednego
złe krwie –
krzyknąłby jak można najgłośniej: chuligan!”.

– Antosiu, wypisujesz banialuki, bo jesteś młody i głupi, mam nadzieję, że wkrótce z tego wyrośniesz, ale redakcja „Wierchów” powinna była chronić cię od kompromitacji i wyrzucić twój elaborat do kosza, nie drukować. To przecież poważne pismo, z tradycjami.

Ale jeszcze tego dnia odezwała się do mnie zwyczajnie, jakby nigdy nic.

Kiedyś wybuchła afera – jakiś Niemiec oparł się zbyt mocno o gablotę i wgniótł szybę. Pani Średniawa wołała, żeby płacił, już dość od nich wycierpieliśmy – ale to był Niemiec z NRD, nie miał pieniędzy, stał ze skruszoną miną i monotonicznie przeproszał w kilkuminutowych odstępach. Nadeszła Różyczka, wezwana, bo znała perfekt niemiecki (francuski również). Pani Średniawa co prawda także znała francuski i niemiecki, ale miała swoje zasady: z Francuzami rozmawiała po niemiecku, z Niemcami po francusku, niech się też trochę pomęczą, skoro ona musi.

Różyczka uśmiechnęła się, powiedziała, że bardzo ją cieszy zainteresowanie szanownego pana ekspozycją, może więc chciałby, żeby go oprowadzić? Otumiony skinął głową. Sypała szczegółami, anegdotami, była w tym świetna. Niemiec słuchał oczarowany, a gdy po dwóch godzinach opuszczał muzeum, zdobył się na komplement, że stłuczenie szyby przyniosło mu szczęście, bo dzięki temu miał zaszczyt wysłuchać tak interesującego wykładu. – Stłuczenie szyby? – zdumiała się Różyczka. – Nic o tym nie wiem. Pani Średniawa była zła i wymawiała Różyczce, oczywiście poza jej plecami, niegodne płaszczenie się przed Teutonem.

Minęło kilkanaście lat, wpadłem do Zakopanego, spotkałem Różyczkę na ulicy. Ucieszyłem się ogromnie, pytam o wspólnych znajomych, o państwa P.

– Och, Antosiu, ta baba zawsze była nie do wytrzymania, ale teraz zaczęła hodować koty, stara wariatka. Koty jak wiadomo sikają, piasek od tego mokry, pani P. jest oszczędna i gospodarna, więc suszy ten piasek na kuchennej blasze, między garnkami. Smród nie do wytrzymania. Szanowny małżonek miał do wyboru: albo wymordować koty, albo zamordować babę. Wybrał trzecie wyjście: uciekł w starczą demencję, czyli mówiąc bez zbędnych upiększeń, zidiociał.

Po paru latach znów ją spotkałem.

– Dzień dobry, kochana Różyczko. Co u pani sły-
chać?

– Głupie pytanie. Dość na mnie spojrzeć i od razu widać, co słycać. Idź sobie, Antosiu, nie zawracaj głowy, dajże mi zdechnąć spokojnie.

Umarła jesienią 1990 roku. Pochowano ją w grobie Jerzego Leporowskiego, który latem 1928 roku podczas samotnej wspinaczki odpadł od filara Koźiego Wierchu do Dolinki Pustej. Była jego narzeczoną, spędzili noc w kolebie, zjedli śniadanie, a potem siedziała z zadartą głową i patrzyła, jak się wspina i spada.

Później zaliczyła tę drogę, nazwaną już Filarem Leporowskiego i ówczynie uważaną za jedną z najtrudniejszych.

O jej panach i życiu emocjonalnym sporo plotkowano, ale nic mi do tego. Pamiętam tylko, że wspomniała mimochodem, jak w latach 30. swatano ją ze znanym wspinaczem Jerzym Luxemburgiem.

– Pour la hec, żebym się nazywała Róża Luxemburg. Ale snadź woli Bożej w tym nie było.

*

Pani Helena Średniawa, kierowniczką działu etnografii, moja szefowa, poświęciła się współczesnej sztuce ludowej. Robiła to świetnie, z zaangażowaniem. Przygotowywała krajowe i zagraniczne wystawy sztuki góralskiej, prezentacje artystów (*Wielka Encyklopedia Tatrzańska* podaje, że około stu, pewnie zsumowali małe wystawki w holu muzeum i duże, pracochłonne), ośmielała początkujących, namawiała, doradzała, podsuwała pomysły, udostępniała ekspozycje, zwłaszcza obrazki na szkle, snycerkę i hafty, współtworzyła tzw. izby twórcze (wówczas nowość) chętnie odwiedzane przez turystów. Za jej namową i przy jej wydatnej pomocy zaczęły malować późniejsze sławy: Helena Roj Ciaptakowa, Zofia Gąsienica Roj, Ewelina Pęksowa, rodzina Walczaków Banieckich i inni. Odegrała niemałą rolę w podhalańskiej sztuce neoludowej; animowała ją, lansowała, dbała o poziom. Cieszyła się z cudzych dokonań, sama stojąc w cieniu, nie czekała na oficjalne podziękowania, choć miałyby do nich pełne prawo. Była bezinteresowna, nie próbowała się dorabiać, czego nie można powiedzieć o niejednym znawcy, animatorze czy miłośniku, który z opieki nad sztuką ludową uczynił sobie lukratywne zajęcie.

Równocześnie współpracowała z Cepelią; kwalifikowała wyroby ludowe do zakupu. Twórcy mogli więc albo zdawać się na jej wyczucie i doświadczenie, albo wracać do chałupy z odrzuconymi pracami. Miała nad nimi władzę, i bardzo dobrze – artyści wymagali opieki jak dzieci, bez niej nie daliby sobie rady, za mało wiedzieli o współczesnej sztuce ludowej; potrzebowali opinii znawcy, przecież nie mieli oparcia w swoim środowisku, tworzyli głównie dla odbiorców miejskich i zagranicznych. Pani Średniawa decydowała w ich imieniu, co jest prawdziwie góralskie, czyli piękne, a co nie, co autentyczne, a co nie.

Ekspozycje z jej wystaw kupowały wielkie muzea; płaciły kilkakrotnie więcej niż Tatrzańskie. Artystom kalkulowały się zwłaszcza wyjazdy zagraniczne – twórczyni (takiej używano formy; na Kurpiach mówiono „ta twórca”), którą pani Średniawa zabierała do Szwecji czy Holandii, żeby tam malowała ubrana po góralsku, miała z tego niezły grosz.

Lata 60. i 70., gdy obserwowałem jej pracę z bliska, a wkrótce potem z niewielkiego oddalenia, były okresem rozkwitu sztuki neoludowej. Lecz pani Średniawa powtarzała, że to ostatnie podrygi, nadchodzi kres, trzeba się śpieszyć. Za parę lat, najdalej kilkanaście, cywilizacja wszystko wytraci. Nie wierzyłem. Jakże? Przecież jest tak dobrze, pojawia się coraz więcej twórców, również młodych, wystawa za wystawą, odrębne galerie, publikacje, powiatowe wydziały kultury licytują się na imprezy i samorodne talenty. Kiermasze, gazety, radio, telewizja. Ale przyszło lato 80. roku, rynek gwałtownie się załamał – panowie z miasta, których dotychczas eksportowały łyżniki, parzenice i obrazki na szkle, zajęli się zgoła czym innym. Cudzoziemców też przestała cieszyć Polska cepeliowska, z wiadomych przyczyn. I oto, w ciągu krótkiego czasu, budowla tapnęła. Sztuka neoludowa przestała być potrzebna, więc bez zbędnych ceregieli wyładowała na tzw. śmietniku historii. Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Gdy pani Średniawa na przełomie 1967 i 68 roku przygotowywała dużą wystawę *Współczesna twórczość ludowa Podhala, Spisza i Orawy*, trzeba było do tych wszystkich twórców dotrzeć, odwiedzić po kilka razy, spisać, wyjaśnić, zabrać prace; to zadanie zleciła mnie. Byłem wówczas w prawie każdej wsi od podnóży Babiej Góry po Gorce i przełom Dunajca. Drogę utwardzonych prawie nie było, autobusy z rzadka, dwadzieścia kilka kilometrów piechotą rzecz banalna. Idę przez wieś, zatrzymuje mnie dziecko, prosi o coś do jedzenia. Miałem w plecaku kanapkę z twarogiem, wyjąłem, nie zdążyłem odwinąć, chłopiec wyrwał mi ją z ręki i zaczął polykać, głodne zwierzątko.

Dziś to już Atlantyda. Byłem niedawno w Ochotnicy. Asfalt, limuzyny, garaże, ozdobne ogrodzenia, bramy otwierane pilotem. Przez cały dzień nie zobaczyłem ani jednej furmanki.

Za moich muzealnych czasów dział etnografii Muzeum Tatrzańskiego nie zajmował się etnografią, czyli

tradycyjną kulturą ludową, a właściwie jej szczątkami, które wówczas jeszcze można było po wsiach wyszperać. Nie prowadził systematycznych badań, prawie nie gromadził eksponatów. Panią Średniawę te sprawy nudziły, zresztą nie była etnografką, lecz historyczką sztuki. Pracowała intensywnie, ale nie w tej dziedzinie – sztuka neoludowa to przecież nie etnografia, chociaż się pod nią podszywała. Gdy razu pewnego przyniosłem drewnianą stępkę do tłuczenia kaszy, przypadkiem wypatrzoną, spojrziała z niesmakiem, westchnęła.

A tymczasem zaczęła opuszczać ten padół generacja urodzona przed pierwszą wojną, zabierając ze sobą pamięć o swoim świecie. Równolegle zaczęła się budowlana hossa, a przy okazji wyrzucanie i palenie wszelakich „dziadów”.

– Wróciła mama z Ameryki – wspominał pod koniec lat 80. chłopaczek, tancerz z góralskiego zespołu – rozejrzała się, wyciągnęła wszystkie starocie na podwórze i rozpałała wielkie ognisko. Prawie nic nie zostało.

W magazynie etnograficznym panowała niewyobrażalna ciasnota i bałagan, mogła się w tym wszystkim rozeznać, i to nie zawsze, jedynie pani kierowniczka, więc na wszelki wypadek starała się mnie tam nie wpuszczać. Karty katalogowe prawie nie istniały, nie było zdjęć eksponatów, księgi inwentarzowe wypełnione tylko częściowo. Nikomu to nie wadziło. Jak odbyło się przekazanie tego wszystkiego, gdy pani Średniawa przechodziła na zasłużoną emeryturę, nie umiem sobie wyobrazić.

Co tu łąć, pani Średniawa mocno załaziła mi za skórę. Lecz swoje trudne do zniesienia dziwactwa, które uniemożliwiały sensowną współpracę, wzięła do grobu; zaś jej dobra robota plonuje.

Dwa razy płakała z mojego powodu, a kiedyś nie odzywała się do mnie przez kilka dni. Pierwszy raz, gdy zostałem zaproszony do współpracy przy filmie telewizyjnym o ludowych artystach Podtatrza, a pani kierowniczka uważała twórców ludowych za swoją własność, czyli poczuła się okradziona, i drugi raz, gdy opublikowałem artykuł, w którym wyłożyłem kontrowersyjny pogląd na sztukę neoludową, a rzecz była szeroko komentowana.

Ale też dwa razy udało mi się sprawić jej radość – gdy złożyłem wypowiedzenie z muzeum, i później, po kilku latach. Spotkaliśmy się przypadkowo na ulicy, starzy przyjaciele. Ucieszyła się, żartowała, dopytywała serdecznie, co u mnie słychać.

*

Juliusz Zborowski przed wojną skupił wokół Muzeum krąg naukowców zajmujących się Tatrami i Podtatrzem. Tygodniami pomieszkiwali na strychu – w spartańskich warunkach, ale z widokiem na Giewont. Pisali, wymieniali poglądy, gotowali na maszynie składkowe płatki owsiane, pili składkowe wino, suszyli skarpetki. Mieli więc wszystko, czego potrzebowali do

szczęścia. „Grand Hotel Muzeum Tatrzańskie”⁵ – ta żartobliwa nazwa natychmiast się przyjęła. Zborowski był muzealnikiem, naukowcem, pisarzem, animatorem: szczerze rozdawał pomysły i cenne informacje, podpowiadał. Jego dorobek w tej dziedzinie, ze swej natury ulotny, mniej uchwytny, okazał się trwały. Wciąż przynosi owoce, choć obdarowani na ogół nie zdają sobie z tego sprawy.

Plon Grand Hotelu, zjawiska niepowtarzalnego w muzealnictwie, chyba nie tylko polskim – to wiele naukowych rozpraw i przyczynków, od geologii i botaniki po muzykologię, etnografię, historię. To również przyjaźnie, które przetrwały okupację i rozproszenie dawnych szlafkamratów. Dyrektor, zwany przez przyjaciół Samuelem, próbował reaktywować po wojnie ów szczególny dom pracy twórczej, lecz okazało się to niemożliwe z przyczyn polityczno-prawnych. Strych przejęto na pracownię i magazyny. Pozostał jedynie pokój gościnny, w godzinach pracy zajmowany przez dział etnografii.

Bodaj ostatnim naukowcem nocującym tygodniami w muzeum, człowiekiem mocno, choć nieformalnie związanym z naszą instytucją, był doktor Janusz Berghauzen, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, członek komisji do spraw zakupu rękopisów Juliusza Zborowskiego i redaktor jego *Pism podhalańskich* (Kraków 1972).

Janusz podjął trudny i delikatny temat *Goralenwolku* na początku lat 60., jeszcze za życia Zborowskiego, więc może pod wpływem jego sugestii? Chyba tak, skoro często w muzeum był, pracował i spał.

Zaczął od obszernego wywiadu z dyrektorem. Wspominał, zaśmiewając się, jak Zborowski, siedząc w fotelu, przykryty kocykiem, z nogą na stołeczku, opowiadał. Co jakiś czas ujmował nogę w obie ręce, ostrożnie zdejmował ze stołeczka, stawiał na ziemi, brał drugą nogę, równie ostrożnie kładł w miejsce tamtej, poprawiał kocyk. W trakcie tej operacji oznajmiał:

– Niech pan zanotuje niezwykle ważną rzecz: całe życie uwielbiałem piękne kobiety.

Janusz spisał kilkadziesiąt relacji, spenetrował archiwa, pozostawiał pozornie odległe fakty. Rychło stał się znawcą dziejów Podhala pod okupacją. A ponieważ interesowało go również wojenne Państwo Słowackie, widział rzecz w szerszym kontekście.

Temat był drażliwy i wciąż gorący, lecz miejscowe czynniki nie robiły większych trudności, prawie nie pytano, czemu to służy i kto za tym stoi. Janusz miał nad głową polityczny parasol, zresztą niekiedy dziurawy – jego opiekunem naukowym był profesor Henryk Jabłoński, minister oświaty, przewodniczący Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, w latach 70. członek politbiura i przewodniczący Rady Państwa. Ale i tak nie było łatwo, badacz poruszał się po polu minowym,

a w dodatku był przeświadczony, że z powodów polityczno-cenzuralnych i zwyczajnie ludzkich, bo przecież wielu informatorów zastrzegło sobie utajnienie rozmów, nie będzie mógł ogłosić wszystkich wyników swoich prac, co najwyżej jakieś wycinkowe artykuły, przyczynki. Socjalizm, cenzura – tak miało być zawsze. Relacje i inne archiwalia złożył zapieczętowane w muzeum, dopiero po czterdziestu latach sięgnął do nich Wojciech Szatkowski, autor pierwszej całościowej monografii *Goralenvolku*.⁶

W chwili wybuchu powstania warszawskiego Janusz był czternastoletnim chłopakiem. Namietnie gromadził druki powstańcze i okupacyjne – gazetki, plakaty, ulotki polskie, niemieckie. Zdążył zebrać kilkanaście kilogramów. Gdy ludności cywilnej nakazano opuszczenie miasta, starannie spakował kolekcję do plecaka. Ciotka narobiła wrzasku, kazała mu wyrzucić papierzyska, a zabrać koncentraty spożywcze Strójwęs i ciepłe ubrania. Jedno i drugie zresztą później bardzo się przydało. Janusz, płacząc ze złości, ukrył swój zbiór w piwnicy. Gdy wrócił, domu nie było. Opowiadał o tym parokrotnie, zawsze z tym samym dramatyzmem, wypominał to ciotce jeszcze wiele lat po jej śmierci. Jak ona mogła! Taki skarb, taki skarb! Nazwę Strójwęs wymawiał z obrzydzeniem, choć ta znana warszawska firma w niczym mu przecież nie zawiniła. Opowiadał także, że jakiś chłop pod Piotrkowem zagadał do grupy wygnanych warszawiaków:

– No to dlaczegośta Hitlera nie słuchały?

Inny znowu ulitował się nad profesorem warszawskiej wyższej uczelni i najął go do pasienia krowy. Była narowista, nie słuchała inteligenta, więc puściły mu nerwy, zaczął straszliwie krzyczeć i kłąć. Przybiegł gospodarz, nawymyślał profesorowi od chamów zbuntowanych i wygnał go precz, bo jakże można tak odnosić się do zwierzęcia.

Janusz był utalentowanym pedagogiem, studenci ogromnie go lubili. Traktował ich po koleżeńsku, lecz zarazem serio, z szacunkiem, stawiał przed nimi niełatwe zadania, dyskretnie wspierał, uczył solidnej roboty. Gdy trzeba, był stanowczy, ale miał duże poczucie humoru, pozwalał z siebie żartować, śmiał się z innymi.

Od 1967 roku organizował obozy naukowe.

„Nie sposób przecenić znaczenia efektów pracy, jaką włożył dr Janusz Berghauzen w organizację i prowadzenie obozów naukowych. Na bieżąco już widoczne były niebagatelne rezultaty badań w postaci opracowań i publikacji. Ale dopiero z dystansu czasu można sobie zdać sprawę, jaka świetna była to szkoła warsztatu historycznego i praktyka pracy archiwalnej, szkoła pisania artykułów, przeprowadzania relacji. Była to także szkoła życia – spotkania z ludźmi, poznawanie bezpośrednio od świadków pogmatwanych losów ludzkich [...]. Przez obozy dra Janusza Berghauzena przewinęło się ok. 80 osób. Część z nich po skończeniu

studiów podjęła własne badania i związała się na trwałe z instytucjami naukowymi i to jest także wielkie osiągnięcie Zmarłego”.⁷

Zaczął na Orawie i Spiszu, potem Waksmund, Chocholów, Szaflary, Grywałd, od 1970 roku Sądeczyzna. Studenci wyszukiwali po wsiach starych ludzi, co to niejedno przeszli, a teraz nie mieli do kogo gęby otworzyć; spisywali relacje, zbierali wojenne gazetki i inne pamiątki, przy tym uczyli się regionu, otwierali oczy na wiele spraw. To przyniosło plon: uczestnicy wyjazdów zapoczątkowali systematyczne badania nad kurierstwem, próbowali dokonać metodycznego, obiektywnego opisu walk „Ognia”. To Janusz jako jeden z pierwszych dojrzał w „Ogniu” postać historyczną, napisał jego biogram do *Polskiego Słownika Biograficznego*, niedopuszczony do druku przez Departament III MSW – „Janusz Berghauzen, znany w środowisku historycznym z postawy opozycyjnej i poglądów rewizjonistycznych”. Biogram ukazał się dopiero w 2008 roku.⁸

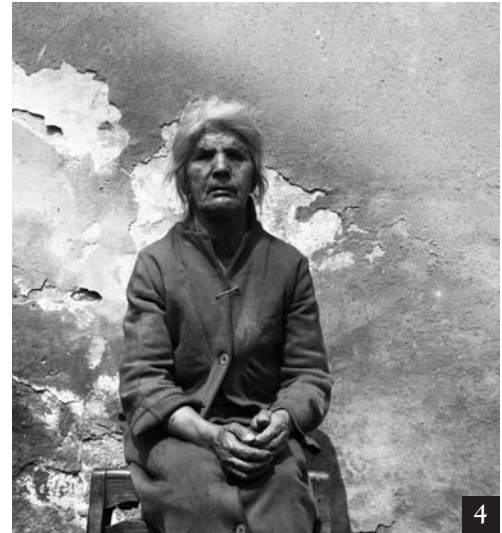
Studenci przedstawili wyniki swej pracy na sesji w Nowym Targu (26–28 stycznia 1969).⁹ Sala była pełna, nastrój podniosły, wyczuwało się napięcie, oczekiwanie. Na widowni przeważali ludzie, którzy na poruszane tematy mieli sprecyzowane, radykalne poglądy. Studenci składali egzamin, publiczność pilnie słuchała. Po jednym z wystąpień wstał starszy mężczyzna. Skłonił się przed referentką, młodziutką dziewczyną:

– Ja pani bardzo dziękuję.

Następna sesja, we wrześniu 1974 w Nowym Sączu, przebiegła w podobnej atmosferze. Wyniki opublikowano, nakład rozszedł się błyskawicznie,¹⁰ podobnie jak pokłosie sesji nowotarskiej. Wnoszono uwagi, Janusz zabiegał o drugie, uzupełnione wydanie. Co to wtedy znaczyło i z czym się wiązało, długo by tłumaczyć komuś, kogo wtedy nie było na świecie.

Tekst podsumowujący do drugiego wydania *Okupacji w Sądeczyźnie* pisał w lipcu 1977 roku. Miał już kolejne przerzuty, został mu miesiąc życia.

Mnie też usiłował wyprowadzić na ludzi. Nic mu z tego nie wyszło. Popędzał do pisania pracy magisterskiej, choć szybciej nie mogłem. Gdy obroniłem, zawołał triumfalnie: „No, wreszcie!” – jakby między jego poganianiem a moim świeżym tytułem naukowym istniał jakikolwiek związek. Przez tydzień tytułował mnie panem magistrem, przekonany, że sprawia mi to przyjemność, wkrótce mu przeszło, ale postawił przede mną kolejne zadania: mam zrobić doktorat i wstąpić do PZPR. (Młodzieży wyjaśniam, że chodzi o Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą – w 2008 roku jedna z moich studentek poprosiła, żebym wyjaśnił, co to takiego, i raczej nie używał tego skrótu, bo nikt go nie rozumie). W tej drugiej sprawie dostał odpowiedź jasną, choć niepotrzebnie opryskliwą – przecież chciał





Podpisy do fotografii:

1. Muzeum Tatrzańskie, 1930, archiwum MT.
2. Szalas w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, fot. Walery Eljasz, 1893, ze zbiorów Ośrodka Dokumentacji Tatrzańskiej TPN.
3. Brońcia Marculka, 1973. Fot. Antoni Kroh.
4. Babka, 1969. Fot. Antoni Kroh.
5. Łapawice Brońci, archiwum MT.
6. Wyciąg krzesełkowy na Kasprowy Wierch, fot. Roman Serafin, archiwum MT.
7. Krupówki, fot. Zbigniew Kamykowski, archiwum MT.
8. Krupówki, lipiec 1964, fot. Zofia Zwolińska, archiwum MT.
9. Janusz Berghauzen, 1969. Fot. Antoni Kroh.

Artykuł ten jest poszerzoną wersją tekstu prezentowanego przez autora na zakopiańskiej konferencji i stanowić będzie jeden z rozdziałów przygotowywanego nowego poszerzonego wydania jego *Sklepu potrzeb kulturalnych*, które ukaże się na jesieni w wydawnictwie MG.



jak najlepiej. Westchnął tylko: szkoda, byłoby ci łatwiej, mógłbyś wyżej zajść – ale więcej o tym mowy nie było.

Do partii parokrotnie próbowali mnie namawiać ludzie jak najdalsi od komunizmu, na przykład Melchior Wańkowicz. Argumentacja: jeśli wejdzie tam generacja młodych, uczciwych inteligentów, rozwali partię od środka albo co najmniej radykalnie ją zreformuje. Pięknie pomyślane. Dziadek mawiał w takich wypadkach: um za rozum zaszoł – czyli w wolnym przekładzie: mędrkowanie przesłoniło rozum. A ktoś inny powiedział, że tę metodę zbawienia Ojczyzny najlepiej wypróbować na hotelach: zatrudnić w każdym po kilka zakonnic, a po miesiącu zbadać, czy wszelaka rozpusta ustala.

Podobne problemy miały pokolenia tużpowojenne. Włączać się do budowy nowej rzeczywistości czy nie? Grupa ziemian, wśród nich Dziadek i Stryj Zdzisław, zakasała rękawy i wzięła się ostro do roboty. Odbudowywali rolnictwo, wykorzystując całą swoją wiedzę i doświadczenie. Po paru latach ich rozpędzono, Stryja oskarżono o sabotaż i wsadzono do kryminału, nie tylko jego zresztą.

Generacja przełomu XIX i XX wieku również przeżywała to na własnej skórze. Oficerowie, którzy dowodzili w wojnie 1920 roku, dobrze znali swoje rzemiosło. Gdzie się go wyuczili? W armiach zaborczych. Jak się tam znaleźli? Ano, chcieli porobić kariery. Gdyby ich wtedy zaczęto lustrować...

Ani przez pięć minut nie należałem do PZPR. Piszę o tym, bo sprawa jest nieprosta.

Januszek nie próbował więcej mnie upartyjnić, natomiast mój doktorat uznał za sprawę dużej wagi. Wymyślił temat: „Kariera Podhala”, mianował się moim promotorem, choć nie miał habilitacji. Ale spodziewał się, że rychło zrobi (z *Goralenvolku*?) i od razu ruszymy, będzie jak znalazł.

Kazał napisać konspekt. Napisałem.

– Dobrze, może być. Kiedy pierwszy rozdział?

– Nie wiem.

– Tylko pamiętaj, żadnych zapędów literackich. To ma być tekst naukowy.

– Owszem, „zapędy literackie” to wśród historyków obraźliwy epitet. Nie umieją biegle pisać po polsku, więc nie mają innego wyjścia, tylko tkwić w swojej naukowej skorupie. Piedestałowo, granitowo, spiżowo. A przecież Klio, muza historyków, była śliczną dziewczyną, a historia jedną ze sztuk, jak taniec czy poezja miłosna. Januszu, co ja poradzę, że maniera naukowa, pozująca na precyzję, śmieszy mnie ogromnie. Nigdy nie zatytułowałbym rozdziału „Przemiany w łonie chłopstwa”, jak to uczynił pewien znany dziejopis, zresztą jeden ze sprawniejszych władających piórem w waszej branży. Gdy się chcę ubawić, biorę pierwszy z brzegu tom Biblioteki Narodowej i czytam przypisy. Pompatyczność, dęte wyjaśnianie spraw oczywistych, niekiedy kardynalne błędy, tym zabawniejsze, im język

bardziej naukowy. Januszu, ja chcę napisać książkę o Podhalu, ale bez kagańca.

– Nazywasz kagańcem coś, co jest porządkiem, normą. Czyli uświadomioną koniecznością.

– Na ten temat było już kilka polemik z jednakowym skutkiem. Atakowano tak francuskich impresjonistów, młodego Mickiewicza, innych.

– A więc chcesz być młodym Mickiewiczem. Gratuluję świetnego samopoczucia.

– W takim stylu nie będę dyskutować.

Spieraliśmy się tak przy obiedzie u pani Haliny Kenarowej i jej córek, zaproszeni z jakiejś uroczystej okazji. Po kilku wódkach Janusz zaczął mówić głośniejszym, mentorskim, którego nie cierpię. Ja zaś wpadłem w egzaltację i nadmierną szczerość.

– Anteczku, powiedz, czego byś teraz chciał, ale tak bardzo? – spytała ciepło pani Kenarowa, chcąc załagodzić sytuację.

– Chciałbym zadebiutować artykułem o współczesnym Podhalu w którymś czołowym tygodniku. Szkicem, esejem. Żeby narobił wiatru, a mnie zauważono.

– To ostatecznie mogę ci w drodze wyjątku załatwić, nygusie jeden – mruknął Janusz.

I załatwił. Dziś widzę ze zdumieniem, że ten artykuł¹¹ (nie czytałem go od czterdziestu lat) był pierwszym konspektem *Sklepu*, a przynajmniej niektórych jego wątków.

Nasz słodki prymityw

W polskiej świadomości społecznej góral odgrywa obecnie podobną rolę, co na Zachodzie Barbarella, Tarzan czy inni superludzie. Każdy góral, jak powszechnie wiadomo, ma około trzech metrów wzrostu, potężne bicepsy, białe portki i niebywałą umiejętność łażenia po skałach. Taki model żyje w naszych umysłach od ponad stu lat.

Wiadomo powszechnie, w jakich warunkach schemat ten powstał. Kultura polska poddawana była przez zaborców systematycznym prześladowaniom. Na zasadzie przeciwwagi pojawił się pewnego rodzaju polski kompleks narodowy; powstała gwałtowna potrzeba wyróżniania się, zaznaczania swojej polskości, potrzeba lekkiej narodowej mitomanii. Wyraziło się to np. w gwałtownych poszukiwaniach polskiego stylu w architekturze czy próbach opracowania modelu „czysto polskiej” kultury. Interesowano się folklorem jako pozostałością czasów pogańskich.

Wtedy to odkryto Tatry i Podhale.

Zaczęło kilku ludzi, po nich przyszedli inni. Z czasem klub tatrzańskich Kolumbów powiększał się coraz bardziej, aż objął setki, tysiące osób. Każdy, kto się do Zakopanego wybrał na lato, chciał obcować z „typowo prapolską kulturą” i stykać się na co dzień z uroczymi prymitywami, którzy stale byli bez pieniędzy i gotowi byli udawać nawet Indian, byle tylko polepszyć sobie wyjątkowo ciężkie warunki egzystencji.

Trzeba przyznać – byli oni rzeczywiście, autentycznie prymitywni. Myli się bez zbytniej pedanterii, analfabetyzm kwitł jak krokusy na wiosnę, poziom życia był straszliwie niski, szanowano prawo tylko własne, zwyczajowe. I oto – cóż za paradoks! – nagle góralom ich zacofanie zaczęło się opłacać, stało się przedmiotem życzliwego zainteresowania, zachwytu, podziwu. Zaczęło przynosić dywidendy. Nagle okazało się, że nieurodzone i niewiele gospodarczo warte Tatry są „ołtarzami przeszłości” i są „niebotyczne”. Okazało się, że gwara góralska jest żywym językiem staropolskim i jest „lepsza” od języka literackiego. Okazało się, że górali tatrzańskich opisywał Homer.

Uroku dodawał fakt, że do Zakopanego przyjeżdżali Polacy z trzech zaborów, że w Zakopanem można się było swobodnie wygadać, zorganizować zebranie, wygłosić odczyt. Było to w ówczesnej Polsce jedyne chyba miasto z pozorami swobody.

W tej dziwnej sytuacji prymitywna, pierwotna i piekielnie interesująca kultura ludowa górali podhalańskich, chodząca dotychczas własnymi drogami, staje się integralną częścią kultury narodowej. Na przełomie XIX i XX wieku niemal cała awangarda twórców polskich korzystała w mniejszej lub większej mierze z kultury ludowej Podhala – od prób pastiszów do bardzo niekiedy oryginalnych i twórczych stylizacji. Wzbogaciło to niepomniernie kulturę polską – w muzyce, literaturze, architekturze, plastyce.

Ten wielki, ciekawy prąd, powstały w bardzo specyficznych warunkach, dał jednak różne produkty uboczne, w szczególności tzw. góralomanię, czyli nienaturalne, schematyczne, płytkie zainteresowanie góralstwą.

Świadomość społeczna zmienia się jak wiadomo znacznie wolniej, niż sytuacja gospodarcza czy ustrój polityczny. Góralomania żyje nadal swoim życiem, podobna do organu szczątkowego, który nie chce ani rusz się skurczyć, natomiast wprost przeciwnie – rośnie i rozwija się.

W Muzeum Tatrzańskim na przykład urodzaj na podhalańskich wiąże się ściśle z warunkami atmosferycznymi. Ilekroć chmury zasnuwają niebo, ilekroć krajobraz mętnieje od mżawki, a w kinie idzie film nudny jak flaki z olejem, tylekroć bracia podhalańscy wkraczają w szacowne muzealne mury. Gdy tylko starogóralski bóg deszczu Mżyc spotyka się ze swą kochanicą Strzeżogą (patrz Andrzej Strug: *Zakopanoptikon*), tylekroć okazuje się, że na wczasy do Zakopanego przyjeżdżają prawie wyłącznie dziennikarze, prawdziwi przyjaciele góralszczyzny, a także damy w nieokreślonym wieku, tzw. etnografomanki, powtarzające co pięć minut: ach, jakie to piękne! Ach, jakie to szalenie ciekawe!

Należy gwoździć przyznać, że wizyty mają od czasu do czasu charakter rzeczowy. Na przykład:

– Kochany, jestem z (tu nazwa znanej gazety). Niech mi pan powie, jak wygląda symboliczny cmen-

tarz w Dolinie Mięguszwieckiej? Daj mi pan jaki artykuł o tym cmentarzu, najlepiej przepis pan na maszynie. Bo widzi pan, przyjechałem na delegację, a teraz pogoda się popsowała, po co mi się taki kawał tłuc, a zresztą dowiedziałem się, że Dolina Mięguszwiecka jest w Czechosłowacji, a szczyt Mięguszwiecki w Polsce, czy to nie bałagan? Pan pewnie chodzi po górach. Spadł pan kiedy? O czym się myśli, lecąc w przepaść?

Bajdy ludowe. Piękna rzecz, prawda? Można sobie siedzieć, słuchać z rozrównieniem – prosty naród ci górale, ale iskra boża się w nich jednak tli! Można sobie pomarzyć o szlachetnych zbójnikach, którzy wprawdzie mordowali w celach rabunkowych bez względu na wiek i płeć, ale jakie mieli szlachetne cele, jaką nadbudowę! Na przykład Sabała. Złapał Liptaka, zmiażdżył mu ciupagą palce u nóg, po czym wyjął gęśliki, zagrał na sabałową nutę i kazał Liptakowi tańczyć. Tak przynajmniej opisuje to pan Malicki. Hej! [...]

Obecnie opowiadanie gadek ludowych jest czymś w rodzaju handlu pamiątkami. Wyróżnia się tu pewien obywatel. Przywdziewa on cyfrowane portki i gunię jak aktor strój Hamleta i obchodzi domy wczasowe, opowiadając wyuczone na pamięć gadki, powtarzając wielokrotnie tymi samymi słowami. Nie ma to wiele wspólnego ze sztuką opowiadania. Ów przedstawiciel dawnej góralszczyzny zwykł siadywać w kawiarni Europejskiej, gdzie popija kawę, a guńkę ma na ramionach. Czemu nie oddał do szatni? Z tego samego powodu, z jakiego damy siedzą w kawiarni w futrach. Opowiada o strachach, w które sam nie wierzy, o dziwożonach, których nigdy nie widział. Dobrze, że nie wierzy. Precz z ciemnotą, że się tak wyrażę. Diabły należą do jednej epoki, kultura masowa do innej. Ale po co robić ludziom wodę z mózgu? A można przecież inaczej! Jest na Podhalu cały szereg twórców wybitnych, piszących w różnych konwencjach, wnoszących do literatury nowe wartości, wykorzystujących gwara w sposób niekiedy bardzo przemyślany i wartościowy. [...]

Strój ludowy ginie. Ale cóż to jest właściwie strój ludowy? Za przykład niech posłuży Ochotnica, wieś leżąca w Gorcach. W XIX wieku noszono tu białe sukienne portki – nazwijmy je umownie ochotnickie. W okresie międzywojennym młodzież wprowadziła modę na portki podhalańskie. Młodzież, czyli obecnie starszyszkowie, przekazali tę tradycję następnym pokoleniom. Obecnie nie nosi się sukiennych portek, lecz miejskie garnitury. Wyobraźmy sobie, że w Ochotnicy powstaje zespół ludowy, który ma zamiar wystąpić publicznie. W co się ubrać? Jaki jest ich właściwy strój ludowy? Portki ochotnickie – skąd je wziąć? Można uszyć, rzecz jasna po konsultacji z etnografem. Ale po co? I za co? Zespół z Ochotnicy, to nie Mazowsze – na specjalne kostiumy funduszy brak. A więc może wystąpić w portkach podhalańskich, których się jeszcze

trochę zachowało we wsi? Ale co powiedzą krytycy? Pozostaje ostatnia możliwość – występować we współczesnym stroju ludowym, czyli w ubraniu miejskim. Nie! Na miły Bóg! Bo gdy zabraknie białych portek, co się stanie ze śwernością, z uroczym prymitywem? Wykpią, wyszydzą, na scenę nie wpuszczą!

No więc co robić?

Na Skalnym Podhalu sytuacja ma się trochę inaczej. W końcu XIX wieku portki sukienne noszono powszechnie, ale parzenice były dużo mniejsze lub nie było ich wcale. Im częściej się parzenicom przyglądano, im głośniejsze nimi zachwycano, tym bardziej się powiększały – taka podhalańska antyteza bazyliuszka. Pod koniec lat 20. XX wieku młodzi zaczęli nosić na portkach wielkie parzenice, prawie do kolan. Propagatorów takiej mody nazywano w Cichem wdzięcznym przewiskiem „kurwiorze”. Obecnie wielkie parzenice na portkach noszone są powszechnie. Używane są na różnych plakietkach i emblematkach, jako symbol góralszczyzny.

Rok 1968 jest niewątpliwie przełomową datą, przeoczoną jednak przez portkologów. Wtedy to pewien zespół (nie powiem który, bo się boję) zafundował sobie kilkanaście par portek z białego austriackiego elastiku, co by się sporzej hipkało, haj.

Nie powiem, który to zespół, ponieważ na pewnym konkursie dostał wysoką nagrodę, portki prezentowały się dobrze, pewnie nikt nie zauważył. Nie chciałbym, żeby zespół miał jakieś przykrości, zwłaszcza że jestem po ich stronie. Sukienne portki są twarde, niewygodne, latem straszliwie ciepłe. Dobre były w XIX wieku, bo nie było innych, ale od pewnego czasu sukienne portki mają zupełnie inną, że się tak wyrażę, bazę ekonomiczną. Są symbolem śwerności, prapolskości. Dorożkarz przy dworcu ubrany w portki łatwiej złapie gościa. Właściciel portek chce być podziwiany, może wstąpić do zespołu pieśni i tańca, wyjechać za granicę. Chodzenie w portkach się opłaca.

Białe „bukowe” portki są bardzo piękne. Wielu górali chciałoby w nich chodzić tylko z tego powodu. Może więc zamiast łamać ręce nad upadkiem góralszczyzny, sprowadzić do miejscowych sklepów sukno? Piękne zadanie dla miłośników Podhala. W Zakopanem, jak dotąd, dużo łatwiej o zachwyty nad portkami niż o sukno na portki.

– Stary, postaraj mi się o obrazek na szkle – prosi znajomy. Tylko żeby był autentyczny.

– Co to znaczy autentyczny?

– No, żeby był góralski, prymitywny.

– To kup sobie w Cepelii, tam są prymitywy.

– W Cepelii? Czyś ty oszalał? Ja chcę coś autentycznego. No wiesz, prymityw, żeby był naprawdę ludowy.

– To kup jelenia na płótnie, można dostać bez trudu na targu.

W tym miejscu znajomy robi głupią minę. Nie wie, czy się zdziwić, czy obrazić. A przecież góralskie obrazki na szkle z XIX wieku mają wiele cech wspólnych z jeleniami malowanymi na płótnie. Przyjrzyjmy się uważniej.

Po pierwsze: ludowość (przyjmując ludowego odbiorcę jako podstawowe kryterium ludowości).

Po drugie: anonimowość. Twórcy w obu wypadkach nie chodzi o sławę, o rozgłos, o tanią popularność. Twórcy chodzi o pieniądze.

Po trzecie: masowość. Jelenie są obecnie w chacie góralskiej tak zdomowione jak w pierwszej połowie XIX wieku obrazki na szkle.

Po czwarte: sytuacja historyczna. Obrazkami na szkle „oficjalna kultura” pogardzała tak samo w połowie XIX wieku jak obecnie jeleniami.

Świadomie nie czynię tu porównania symbolu malowania, szlachetnego układu kolorów czy harmonijnej kompozycji, ponieważ względy estetyczne nie są przyczyną tak wielkiego popytu na pseudoludową sztukę. Mechanizm jest inny. Snob chce powiesić sobie obrazek na ścianie, patrzeć i dumać: ach, góralskie! Ach, na szkle! Nasz słodki prymityw!

Na Podhalu nie malowano na szkle już w drugiej połowie XIX wieku. Ksiądz Stolarczyk, pierwszy proboszcz zakopiański, osobiście tłukł „wulgarne” wyobrażenia świętych. Witkiewicz nazywał je „barbarzyńskimi”. Dosłownie w ostatniej chwili, kiedy obrazki zniknęły już z góralskich ścian, wzbudziły zainteresowanie małej grupki kolekcjonerów: Dembowskiej, Kondratowiczowej, Gnatowskiego, Krasieńskiego i paru innych. Gdyby nie oni, nie byłoby dziś w Polsce malarstwa na szkle.

W okresie międzywojennym próbowano odradzać na Podhalu tę sztukę. Udało się to jednak w pełni dopiero niedawno. Rzecz charakterystyczna: im bardziej malarz trzyma się dawnych wzorów, im dokładniej je kopiuje, tym jest pokupniejszy, tym się bardziej podoba. Od tego stwierdzenia już tylko krok do wniosku, że nabywcę nie obchodzi obraz na szkle jako dzieło sztuki, że duże zainteresowanie malarstwem na szkle ma niewiele wspólnego z zainteresowaniem sztuką. Jedyne bodaj wyjątkiem od tej reguły jest malarstwo Jana Jachimki.

Pewna pani natomiast poszła nieco inną drogą. Zaopatrzyła się w album z reprodukcjami ikon: obecnie produkuje reprodukcje tych reprodukcji, pięknie na desce malowane, i sprzedaje miłośnikom sztuki. Mechanizm podobny co w produkcji „starych” obrazków na szkle – w każdym razie nieco podobne instynkty kierują kupującymi.

Być może za kilkadziesiąt lat artyści ludowi będą przychodzić do Muzeum Tatrzańskiego, aby oglądać stare, szlachetne w barwie i kompozycji jelenie z drugiej połowy XX wieku. Ale wtedy będzie już za późno – jelenie znikną z jarmarków, znikną z chłopskich chat. Kiedy już was nie stanie, kochane jelenie, kiedy obro-



Adam Pach, fot. Władysław Werner, archiwum MT.

śnienie w legendę, kiedy będziecie rarytasami na rynku, kiedy będziecie ozdobami kolekcji etnograficznych, wspomnijcie mnie, uśmiechnijcie się do mnie, drogie jelenie. Pamiętajcie, że zawsze was kochałem.

Trzeba natychmiast, i to koniecznie, zacząć dyskusję na temat sprawy podejścia do kultury ludowej. Trzeba zdać sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji i ją wziąć jako punkt wyjścia. Nie można na co dzień popełniać błędów polegającego na mieszaniu epok – nie można traktować wsi współczesnej jak wsi z lat 20. Trzeba wiedzieć dokładnie, w jaki sposób kultura ludowa ma być częścią kultury narodowej, trzeba zdać sobie sprawę, po co pielęgnuje się tradycję. Nie można zamykać oczu na zjawiska, jakie towarzyszą współczesnym przemianom na wsi. Pewna pani, recenzując festiwal folkloru, napisała: „nie było nieomal na estradzie zespołu, w którym góralska guńia nie mieszałyby się z eksportową wiatrówką, a pięknie haftowane serdaki z wzorzystym jedwabiem bluzek. [...] Zamiast uroczego prymitywu ludowych obrzędów – sprymitywowana zabawa w teatr”. Pani purytanka żąda, aby zespoły były „autentyczne”, aby cuchy nie mieszały się z ortalionami. Gdyby wszystko miało być autentyczne, to powinno mieć miejsce takie pomieszczenie, w proporcji jedna cucha na kilkadziesiąt ortalionów. Musimy się w końcu zdecydować, czego chcemy. Albo autentyk, albo prymityw. Oczywiście jestem za autentycznym, ale autentycznym autentycznym, współczesnym, nie załganym i pozowanym ludomaństwem. Tu nie

Polinezja, tu kraj przemysłowo-rolniczy, tu Polska Rzeczpospolita radiowa, telewizorowa, autobusowa i motocyklowa. Nie można wymagać dwu przeciwnych rzeczy naraz.

A potem miałem swoje wymarzone pięć minut. Los wyrównał mi z nawiązką (o ile los kiedykolwiek komukolwiek cokolwiek wyrównuje) przykrości związane z upragnionym debiutem. Zasłużyłem – o sztuce ludowej, zwłaszcza podhalańskiej, nikt wtedy tak nie pisał.

Podchodzili ludzie znani mi tylko z widzenia, gratulowali. Adam Pach, kawiarniany Hamlet z artykułu, odwiedził Panią Dyrektora z żądaniem natychmiastowego wyrzucenia mnie z posady. Krzyczał, wałąc pięścią w biurko: „Zre góralski chlib, a takie rzeczy pise! Tfu!”. Niezależnie od meritum, źle dobrał środki wyrazu – Pani Dyrektor nie była osobą podatną na argumenty wyrażane w taki sposób. Nawet mi nie wspomniała o tej wizycie, dowiedziałem się skądinąd. Pani Średniawa zamknęła się w magazynie i płakała, potem przez kilka dni traktowała mnie jak powietrze. Dostałem kilkanaście sympatycznych kartek, także z mojej warszawskiej katedry etnografii. Pach wysłał do „Kultury” polemikę, Jasiek Nędza-Kubiniec drugą, ukazała się równocześnie z moją odpowiedzią, więc widząc mnie na ulicy, uśmiechnięty od ucha do ucha, zawołał: „Witajcie, sąsiedzie!”. Związek Podhalań zaprosił mnie, a raczej wezwał, do swej świetlicy na posiadki pod obiecującym tytułem *Nasz słodki region*. Kolejni mówcy przez półtorej godziny przekonywali bardziej siebie niż mnie, że Podhale piękne jest i należy je kochać, bo wniosło do kultury polskiej niepowtarzalne wartości. Potakiwałem, też tak uważam, zresztą trudno inaczej, zaś pod koniec spytałem, czemu nie można żartować z Podhalań, a można z pokraków na nartach, roztargnionych profesorów czy milicjantów? Nie dostałem odpowiedzi. (To samo pytanie zadałem czterdzieści lat później na promocji *Sklepu* w Bukowinie i usłyszałem: „Bo górale mają ciupagi”).

Minęło niewiele czasu, wpadłem na Krupówkach na pana Pacha, spodziewam się dalszego ciągu awantury, a tymczasem Pach otwiera ramiona.

– Witajcie bracie, co u tobie, co porabiasz?

Minę miałem chyba niewyraźną.

– Nie gniewa się pan na mnie?

– E, cożyk się miał gniwać.

Chwila milczenia.

– Ej, biedoku, kielo mi cie zol! Kielo mi cie zol! Mos talent, mos, ino nie wis, kany go wrazić.

Dotychczas uważałem Adama Pacha za człowieka niezbyt lotnego, ale musiałem w duchu przyznać, że jego diagnoza była zaskakująco przenikliwa.

*

W latach 60. w Muzeum Tatrzańskim kilka osób robiło wartościowe i ciekawe rzeczy, ale każdy sobie

rzepkę skrobał, zaś życie instytucji biegło – czy raczej pełzło – niezależnie od tego, siłą bezwładu, obok.

Pani Helena Średniawa dźwigała na swych barkach współczesną sztukę ludową, nie robiła zaś tego, do czego zobowiązywała ją umowa o pracę – nie kierowała działem etnografii. Całymi tygodniami nie dostawałem poleceń, a że bardzo chciałem dokonać czegoś ważnego i pożytecznego, więc sam je sobie wydawałem, na ogół nie biorąc pod uwagę realiów – chłopcy już tak mają. Kiedyś w Pięciu Stawach u wylotu dolinki Pustej natknąłem się na niszczący szalas, ten wsparty o wantę, uwieczniony na obrazie Aleksandra Kotsisa *Wycieczka w Tatry*. Zdecydowałem, że trzeba go wyremontować (to się uczenie nazywało „zrewaloryzować”) i urządzić w nim wystawę pasterstwa. Nie zaprzątały mi głowy takie drobiazgi, jak kwestia własności szalasu, uzgodnienia z Tatrzańskim Parkiem Narodowym, zabezpieczenia eksponatów przed kradzieżą itp. Gdzie będę mieszkać, co jeść? – takich pytań nie stawiałem, tylko cieszyłem się, że poprowadzę najwyżej położone muzeum w Polsce. Wyszperałem ikonografię, literaturę przedmiotu. Nikt się nie zainteresował, co właściwie robię. Tzw. proza życia dyskretnie usunęła się w kąt i cierpliwie czekała, aż mi przejdzie.

Innym razem postanowiłem rozkopać grób czarownika Kikli w Bukowinie. Według legendy są tam księgi tajemne. Można z nich wyczytać masę ciekawych rzeczy, np. kiedy będzie koniec świata. Pani Średniawa zapytała, czy dobrze się czuję. Zapewniłem ją z czystym sumieniem, że świetnie.

Anna Micińska, dla znajomych Dunia albo Dunka, dokładnie wiedziała, czego chce, i realizowała to z godną szacunku konsekwencją – pochłonięta była Witkiewiczami, ojcem i synem. Odkryła na strychu remontowanej właśnie Witkiewiczówki kilkaset listów o stylu zakopiańskim. Pracując w muzeum, wydała z rękopisu (wspólnie z Michałem Jagiełłą) pamiętniki Wojciecha Brzezi, pod nieco pretensjonalnym tytułem *Żywot górala pocziwego*, rzecz podstawową dla arcyważnej dla Podhala, a często pomijanej, słabo rozpoznanej kwestii – stosunku górali do mitu zakopiańszczyzny. Lecz muzeum ją uwierało. Była mądra, wysoko mierzyła, wyrastała nad swoje obowiązki służbowe – oprowadzanie szkolnych wycieczek oraz podobne dyrdymały. Denerwowała się, gdy wymagano od niej świadczenia bieżącej pracy na rzecz działu oświatowego muzeum, to ją rozpraszało, kradło cenny czas. Etat w muzeum traktowała jako swego rodzaju stypendium naukowe – miała święte, nietykalne biurko i marną, ale pewną pensyjke, brakowało jej jedynie czytelnianej ciszy. Na tym tle raz po raz zgrzytało między nią a Różyczką, dopóki nie wyszła za mąż i nie wyprowadziła się do Warszawy. Tam napisała najważniejsze teksty i urodziła dwoje dzieci. „Ona ma tylko jedno wielkie zmartwienie: że jej dzieci nie są dziećmi

Witkacego” – powiedział któryś z przyjaciół, jak widać obdarzony wyrafinowanym poczuciem humoru.

Naukowo pracowała Wanda Jostowa, etnografka. Jej oficjalna funkcja – kierownik działu bibliotecznego-archiwalnego.

Tymczasem bibliotekę i archiwum prowadził Jerzy Darowski. Był bodaj jedynym pracownikiem merytorycznym, który całkowicie utożsamiał się ze swoją funkcją. Prywatne zainteresowania (o Podhalu wiedział prawie wszystko) i praca tworzyły w nim jedno. I bodaj jedyny przychodził do muzeum punktualnie, punktualnie wychodził, a godziny służbowe poświęcał wyłącznie robocie. Gromadził archiwalia, zwłaszcza fotografie.

Kiedyś wyprowadziłem go z równowagi do tego stopnia, że zaczął krzyczeć. Otóż zwiąłem z pochodu pierwszomajowego, zlekceważyłem obowiązek służbowy, powinienem dostać naganę z wpisaniem do akt.

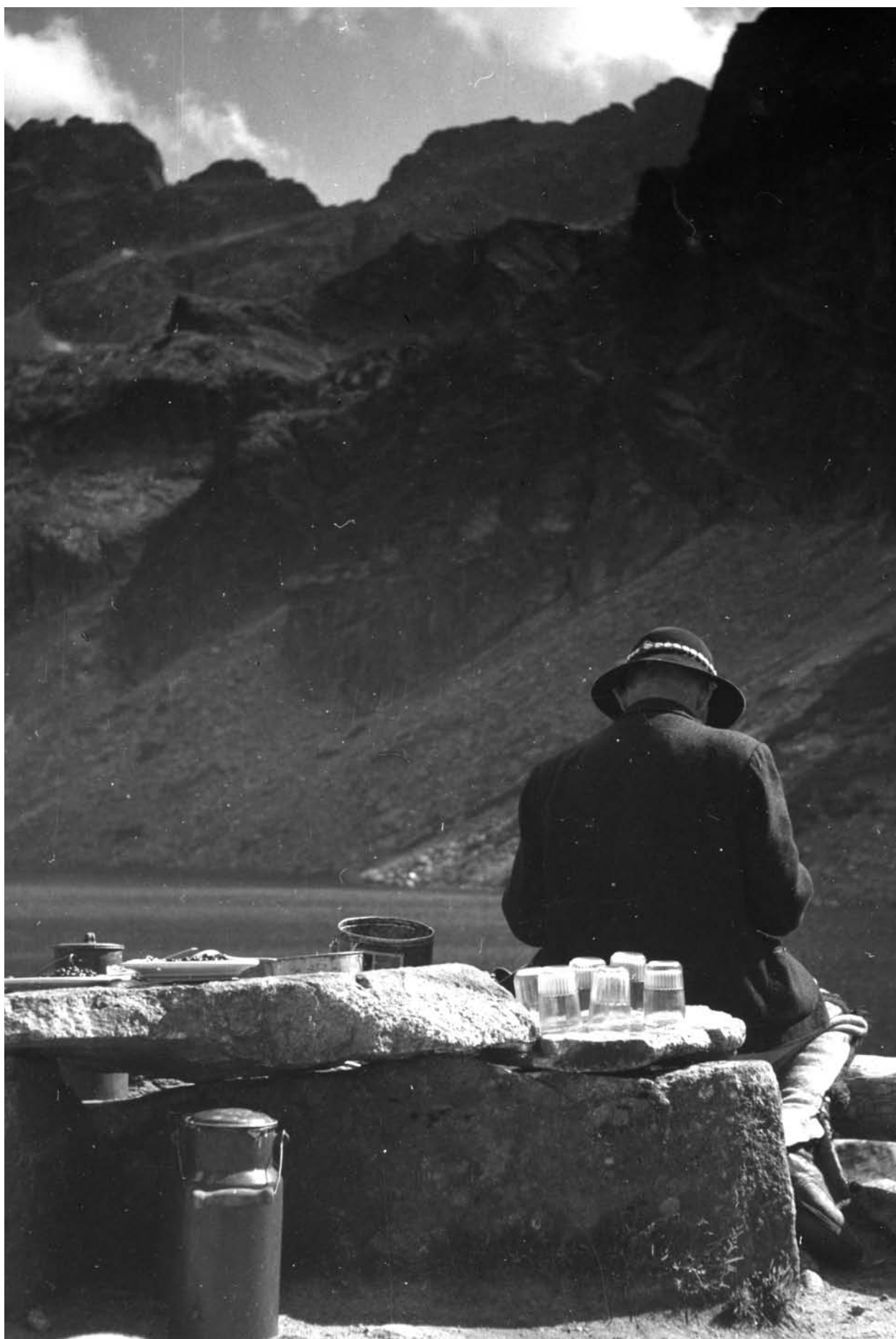
– Jest pan człowiekiem nieodpowiedzialnym! Ktoś mógłby zobaczyć, że pracownik Muzeum Tatrzańskiego... Na instytucję spadłoby odium...

Książnica muzealna powstała i rozrastała się przed wojną. Juliusz Zborowski nie tylko stworzył bogatą bibliotekę fachową i regionalną, ale też zainicjował serię wydawnictw naukowych i popularnonaukowych. Był znanym bibliofilem, przyjaciele wiedzieli o tym i systematycznie powiększali księgozbiór. Przeglądając kiedyś katalog, trafiłem na tytuł *La fin – enfin! Une idylle au 'dworek'*, romans wydany przed wojną w Paryżu, o pannie, która tuż przed ślubem czmychnęła narzeczonemu i pojechała z ukochanym na kilka dni i nocy do Zakopanego. Czemu akurat tam? Bo przechodząc paryską ulicą, zobaczyła plakat z Giewontem i napisem *Visitez la belle Pologne*, co ją natchnęło do podjęcia natychmiastowej decyzji. Byli szczęśliwi, mieli za oknem Giewont, ale cóż, kiedy nagle opuściła, tym razem ukochanego, by w ostatniej chwili zdążyć na ceremonię ślubną. Zapewne któryś zaprzyjaźniony podhaloman wypatrzył to dzieło u paryskiego bukinisty, a potem z błyskiem w oku wręczył Bacy, bo i tak nazywano Zborowskiego.

Jerzy Darowski był sumiennym kontynuatorem jego dzieła; fachowym, troskliwym opiekunem biblioteki. Systematycznie uzupełniał zbiór literatury specjalistycznej odnoszącej się do Tatr i Podtatrza ze wszystkich dziedzin, w tym publikacje obcojęzyczne, także literaturę piękną. Rasowy bibliotekarz, kochał książki, więc naturalną rzeczą kolejną nie cierpiał czytelników.

– Biblioteka naukowa jest po to, żeby gromadzić, katalogować, a nie udostępniać zbiory każdemu, kto ma na to ochotę.

Irytowałem go, wzdychał na mój widok, bo wiedział, że znowu będzie musiał... Ilekroć prosiłem o książkę, robił bolesną minę, jakby właśnie wyrwał sobie włos z nosa, patrzył wzrokiem pełnym wyrzutu, ale schodził



Góral sprzedający mleko nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, 1956, fot Zbigniew Kamiński.

do magazynu i dawał, czego chciałem. Co się wtedy naczytałem, to moje.

Chyba najtrudniejsze chwile przeżywał na początku lat 70., gdy ówczesny dyrektor wpadł na pomysł przekazania bezcennego księgozbioru do biblioteki miejskiej.¹²

Był ode mnie starszy o dwanaście lat. Dopiero z jego nekrologu¹³ dowiedziałem się, że podstawówkę kończył na tajnych kompletach. Przepaść pokoleniowa. Nigdy już się nie dowiem, dlaczego prawie zawsze mówił półgłosem i nieustannie sprawiał wrażenie, jakby właśnie przed chwilą ktoś wyrządził mu głęboką krzywdę.

W maju 1967 roku rozgorzał spór między nim a Janem Bujakiem (etnograf, pracował w muzeum rabczańskim i na Uniwersytecie Jagiellońskim) o Heródka, ludowego artystę z Lipnicy Wielkiej na Orawie. Darowski odkrył Heródka jesienią roku 1959, ofiarował mu jakieś stare ubrania, co było rytuałem, wbił chorągiewkę w odkryty łąd, ale dopiero pod koniec czerwca 1966 wysłał o nim artykuł do „Polskiej Sztuki Ludowej”.¹⁴ Pismo miało mniej więcej półtoraroczny cykl wydawniczy, na dobitkę artykuł się przeleżał, wyszedł drukiem dopiero w 1968 roku. Tymczasem Bujak napisał o Heródku do „Przekroju”,¹⁵ ówczesnie najpoczytniejszego tygodnika ilustrowanego w Polsce. Darowski uznał, że zarówno jego, jak Muzeum Tatrzańskie spotkała wielka krzywda. Wysłał do „Przekroju” sprostowanie, którego nie zamieszczono, zaś dwa tygodnie po artykule Bujaka ukazała się notatka,¹⁶ zaczynająca się od słów:

„Relacja o rzeźbiarzu Karolu Wójciaku-Heródku z Lipnicy Wielkiej [...] wywołała spore zainteresowanie. Napisał ją dla nas Jan Bujak (etnograf) i była to w ogóle pierwsza publikacja, która doniosła o zjawisku nieprzeciętnym – chyba na skalę europejską – jakim są rzeźbione pieńki Herodka”.

Było więc jasne, po czyjej stronie stanął „Przekrój” i kto zdaniem redakcji jest prawdziwym odkrywcą, moralnym właścicielem wioskowego odmienca. A wtedy odkrycie twórcy ludowego bardzo się w branży liczyło. Ja również, rzecz jasna, mocno pragnąłem jakiegoś twórcę odkryć, ale skoro tylko na któregoś trafiłem, okazywało się, że już dawno został odkryty. Z późno się urodziłem.

Pan Darowski nie ustąpił, poszedł ze swoją krzywdą do „Tygodnika Powszechnego”. Spór jątrzył się ponad rok, skoro redakcja „Polskiej Sztuki Ludowej”, która wreszcie ogłosiła artykuł Darowskiego, umieściła pod nim przypis:

„Pierwszą wzmiankę podał krakowski tygodnik «Tempo» 27.VI.1966 r. Następnie – w «Przekroju» 21.V.1967 r. artykuł J. Bujaka. Ze sprostowaniem wystąpił J. Darowski na łamach «Tygodnika Powszechnego» 2.VII.1967 r. (wobec niezamieszczenia sprostowania przez «Przekrój»). Drukowany obecnie artykuł

J. Darowskiego nadesłany został do redakcji w początku czerwca 1966 r.; ze względu na przesunięcie numeru, do którego był przygotowany, ukazuje się dopiero obecnie. Podkreślamy ten moment, gdyż właśnie p. Jerzemu Darowskiemu przypisać należy zasługę «odkrycia» Heródka i zaopiekowania się nim. Redakcja”.

I jak to bywa, ów spór stał się detonatorem kolejnego, większego konfliktu, o podział terenów łowieckich między Muzeum Orkana w Rabce a Muzeum Tatrzańskim. Konferencja pokojowa, bo chyba tak ją można określić, odbyła się w Krakowie pod wysokim protektoratem wojewódzkiego konserwatora zabytków, pani doktor Hanny Pieńkowskiej. – Orawa jest nasza! – Ale Heródek nasz! Granicę poprowadzono głównym grzbietem Gorców, południowe stoki Turbacza przypadły nam, północne – Rabce. Górna Orawa pozostała przy Muzeum Tatrzańskim, ale Rabka wywalczyła prawo do uzupełniania kolekcji Heródka.

Przedmiot sporu miał wówczas siedemdziesiąt kilka lat. Paradował w starej polowej rogatywce i dwóch, niekiedy czterech krawatach naraz, wrażliwy inaczej, muzyczny inaczej, a przede wszystkim po prostu dobry, pogodny, cieszący się życiem dusza człowiek. Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę, że z jego powodu i nad jego głową przetacza się taka burza namiętności i ambicji. No i bardzo dobrze.

Pozostał mu jeszcze rok życia. Dobry rok. Panowie go odwiedzali, fotografowali (bardzo to lubił), zostawiali pieniądze. Wreszcie stać go było na spełnienie marzenia życia – kupił skrzypce i basy. Nie umiał na nich grać, ale grał, i to było w nim piękne.

W latach 70. stanęło na nogi Muzeum Podhalańskie w Nowym Targu. Władze miasta uniosły się ambicją, ulokowały muzeum w ratuszu i wystąpiły z wnioskiem, żeby Nowy Targ miał w statucie Podhale, Orawę i Spisz, zaś Muzeum Tatrzańskie, zgodnie ze swą nazwą – wyłącznie Tatry. Ale było śmiechu i złośliwych komentarzy. Typowano mnie na dyrektora tej placówki, lecz karierę udaremnił mi felieton w „Dzienniku Polskim” z opisem wychodka w urzędzie miejskim.

Gdy zaczął się spór o Heródka, pracowałem w Muzeum Tatrzańskim dopiero od kilku miesięcy, wszystko było dla mnie nowe. Zareagowałem szyderczym tekstem *Debil i humaniści*. Dzięki Bogu nie ukazał się drukiem – ale po kilku latach doczekał się ekranizacji. Wielce na tym zyskałem, bo współpraca z filmowcami skutecznie wybiła mi z głowy dalsze literackie kontakty z kinematografią.

*

W latach 70. i 80. chodziłem po Beskidzie Niskim. Paśli tam Podhalanie, niezbyt lubiani przez miejscową ludność. Zarobili sobie na to uczciwie. Ale ja wciąż nosiłem w sercu stare podhalańskie sentymenty, a skutki niegodnego zachowania pasterzy w zagarniętej krainie nie dotyczyły mnie bezpośrednio.

Czekając na autobus, wdałem się w pogawędkę z bacą, starszym mężczyzną w góralskich portkach i białej koszuli z obowiązkową tandetną spinką ze sklepu z suvenirami. Pachniał dymem ogniska, co poruszyło ukryte struny w mej duszy (zdaje się, że tak ujmowali to dawni poeci). Mówił mieszaniną gwary i dólskiej polszczyzny – jak zwykle góral, gdy znajdzie się poza Podhalem.

– A pan skąd?

– Ze Sącza. A pan?

– Ze Zębu. Pewnie nie wiecie, gdzie to jest.

– Wiem. Pracowałem cztery lata w Muzeum Tatrzańskim, bywałem w Zębie, zamówiłem tam wełnianą derkę. Mam ją do dzisiaj.

– Taką swojej roboty? Tkaną na warsztacie, folowaną? To chyba wiem, u kogo.

– A z Zębu dobrze znałem Brońnię Marculkę.

Baca się rozpromienił.

– Znaliście ją?

– Znałem. Często przychodziła do muzeum, robiła swetry, skarpety, rękawice, można było zamówić u niej prawdziwą wełnę grubo przędzoną. Uczyla mnie, jak rozpoznać podrabianą wełnę, jak ma wyglądać porządny ścieg, jak się nazywają części haftu na portkach. Krzesiwko, kohuty, klisce, zbójnickie kółko, mirwa. Bardzo ją lubiłem. Opowiadała różne ciekawe rzeczy.

– Hej, to ona. Za jej młodości rozwodów na wsi nie było, ale Bronka ze swoim chłopem byli rozwiedzeni, czy jak to nazwać. Używała panieńskiego nazwiska Bartol z przydomkiem Marculka, choć po mężu pisała się Mulica, tak miała w papierach, ale mąż nie chciał z nią być. Siedziała z matką i głuchoniemym bratem Jaśkiem.

– Opiekowała się nim, z jej pomocą nauczył się stolarki i bednarki. Przyszedłem kiedyś do nich, akurat byłem w zielonej koszuli z pagonami, Jasiek zrobił przede mną baczność, spocznij i zaczął się zbierać do wyjścia. Myślał, że biorę go do wojska, to było marzenie jego życia.

– No, ten sam. Co dzień w południe wychodził na drogę, czekał listonosza, żeby mu przyniósł kartkę do poboru. Stary był, a jeszcze to robił. Jak pomarł, listonoszowi strasznie było luto. Ale co.

Kiedyś w muzeum zapytałem, czemu jest taka markotna.

– Mój chłop wcora pomarł, nie bedym o tym godać.

Często przychodziła do muzeum w rozmaitych sprawach. Stale ktoś u niej coś zamawiał. Opowiadała barwnie, ale o sobie raczej niewiele. Teraz sklejam jej życiorys z zapamiętanych okrucich, podpierając się nekrologiem napisanym przez panią Średniawę.¹⁷

Urodziła się w Zębie w 1906 roku. Ojca prawie nie pamiętała. Matka, nie mogąc utrzymać czworga dzieci, oddała ją, dwunastoletnią, na służbę. Przez kilka lat pasła w dolinie Jaworzynki, nad Kuźnicami, także na stokach Skupniowego Uplazu. Owiec tam było o wie-

le za dużo, wygryzły całą trawę, naruszyły glebę na stromym stoku, zaczęła się gwałtowna erozja i jałowienie. W latach 50., po likwidacji pasterstwa w Tatrach, wszczęto działania hamujące ów proces. Z różnym skutkiem. Ale oczywiście Brońnia temu niewinna. Już za moich czasów, wiedzona porywem serca (dlaczego już nie używamy tych pięknych, staromodnych frazesów?), wybrała się do Jaworzynki, popatrzała na rozwalające się resztki szałasów, pokrzywiska, splotała się nad swoim życiem, dawnym i dzisiejszym. Drugiego dnia podsumowała ten wypadek w sobie właściwy sposób:

– Nie wiem, pocok hań sła, cegok sukała. I nalazłak.

W Jaworzynce baca nauczył ją tkać łapawice na desce.

Później ciężko pracowała u Bustrzyckiego na Hali Gąsienicowej. Lubiała smarować panom narty, bo zawsze jej coś wpadło do kieszeni. Gorzej było sadzić drzewka – za cały dzień tej morderczej pracy dostawała dwadzieścia przedwojennych groszy. Spytałem mamę, ile to było. Westchnęła tylko, pokręciła głową.

Takie miała Brońnia dzieciństwo i wczesną młodość. Potem było lepiej – Antonina Tatarówna z Suchego przyjęła ją do pracowni kilimiarskiej. Poznała tam technologię pracy z wełną, nauczyła się knapstwa czyli tkactwa, robienia swetrów, skarpet, rękawic. Osiągnęła w tej dziedzinie kunszt, a swą mistrzynię wspominała z szacunkiem i wdzięcznością.

W 1937 roku musiała wrócić do Zębu. Bracia poszli na swoje, została chora matka, nieporadny Jasio, zapuszczona gazdówka, trzeba było się tym zająć.

Przed samą wojną i podczas okupacji we wsiach powiatu nowotarskiego prowadziła kursy obrabiania wełny. Często o tym opowiadała, np. jak baby w Tylmanowej zobaczyły pierwszy w życiu kołowrotek, cud techniki, z jakim zapalem uczyły się na nim prząść.

Do Muzeum Tatrzańskiego ściągnęła ją w latach 50. Helena Roj-Kozłowska, która starała się – z nie małym powodzeniem – ożywiać sztukę góralską w nowych warunkach. Zamówiła u niej do zbiorów muzeum wełniane wyroby, między innymi staroświeckie łapawice. Brońnia, za namową Roj-Kozłowskiej, zaczęła je robić dla panów, nieco mniejsze niż tradycyjne, wymyśliła też sposób równoczesnego tkania palucha (dawniej go przyszywano) i nazwała te stare-nowe rękawice sabalówkami, żeby były bardziej góralskie i (wtedy lubiano to słowo) – autentyczne. Dawne robione były z resztek wełny, końcówki chowano do środka, tworzyły coś w rodzaju futerka. Kawalki były przypadkowe, różnych kolorów i grubości, łapawice na ogół więc bywały pstrokate, bez przemyślanych deseni. Brońnia na swe sabalówki cięła wełnę z kłębków, mogła więc wpłatać czarno-szaro-białe wzorki, wyszukane, dla każdej pary inne. Zamówiłem kilka par, długo mi służyły, ale nie były wieczne. Zapragnąłem podobnych. Brońnia już nie żyła. Dowiedziałem się, że takie



Kornel Makuszyński, archiwum MT.

rękawice robi stary chłop pod Sączem. Pojechałem, obejrzałem, zrobiło mi się smutno – Brońcia by go nauczyla porządnej roboty. Ale kupiłem, co miałem robić.

Strasznie byłem głupi. Gdybym poprosił Brońcię, żeby nauczyla mnie pleść sabałówki, uczyniłaby to z ochotą, głuchoniemy Jasio wystrugałby formę, kołeczki, wszystko co należy. Teraz bym sobie zwyczajnie sam utkał.

Zatrudniono ją formalnie na kilka lat jako pomoc muzealną w dziale etnografii. Gdy tam pracowałem, była już tylko gościem na prawach domownika. Bardzo uczynna, chętna, zawsze ktoś zamawiał jej znakomite rękodzieła.

Pytałem ją o rozmaite kwestie, była dla mnie autorytetem w sprawach dawnej góralszczyzny. Pogodna, życzliwa, głęboko pobożna, nigdy nie słyszałem, żeby kłęła, a gdy już naprawdę musiała, zamiast bestyja mówiła bez tydzień, zamiast niek to ślak trafi – niek sie mi nie trafi. Kiedyś się rozplakała, bo zobaczyła, jak mnie dusi astma.

Zrobiłem jej zdjęcie, podarowałem odbitkę. Obejrzała, podziękowała, pochwaliła.

– Doś pikna baba, kieby ino nie ta gymba.

Zaprosiłem ją na kilka dni do Warszawy. Ależ miałem frajdę, patrząc na moje miasto oczyma starej góralki i słuchając jej wnikliwych uwag.

Weszliśmy do Pałacu Kultury.

– Jak się pani podoba, pani Broniu?

– Bars piknie, bars piknie. Ale, jakoz wom pedzieć, kieby nie było telo piknie, ino kapecke mniej, beloby pikniej.

W zoo długo stała przed żyrafą.

– Kielo to zre? Przy takiej nie worce sadzić jabłoni przy chałupie, bo syćkie jabka zezre prosto z drzewa.

W barze mlecznym uraził ją napis prosimy o zwrot naczyń.

– Cego sie bojom, cego sie bojom? Nic im nie ukradnem, mom w chałupie pikniejse.

Mówiła „dzień dobry”, wchodząc do tramwaju, a gdy miała usiąść obok kogoś, zawsze pytała, czy można.

Ale najwspanialej było w Wilanowie.

Wkraczała do komnaty jak dama, rozglądała się i podchodziła do pilnującej baby, patrzącej na nas z obrzydzeniem, jak to zwykle one. Kłaniała się dwornie.

– Witojcie, pani. Jo tyz pracujem w muzeumie, w Zokopany. My nie momy telo piknie, co wy. Pisem sie Bronisława Bartol Marculka. A to – wskazując na mnie eleganckim gestem – pon Jantuś, mój kolega z muzeum, bars dobry i porządný człowiek.

Baba-pilnowaczka zerkala z niedowierzaniem, jakby w tych murach nie pojawił się dotąd żaden dobry i porządný człowiek. Zrywała się, witała Brońcię z radością i zakłopotaniem – chciała ją uhonorować, nie

wiedziała jak, więc zaczynała objaśniać, opowiadać, odsunęła sznur, żeby Brońcia mogła wejść do strefy zakazanej i wszystko z bliska obejrzeć. Brońcia dziękowała lekkim ukłonem, brała w palce tkaniny, znała się na tym, dziwowała się uprzejmie. I tak komnata po komnacie.

Wyjechałem z Zakopanego, straciłem kontakt z Brońcią. A gdy po latach zobaczyłem na rynku skarpety z owczej wełny, kupiłem z radością, mimo poczucia, że sprzeniewierzam się naukom starej twórczyni i daję się oszukiwać. Podobnie było, gdy na Krupówkach kupowałem szary wełniany sweter, przesiąknięty zapachem owiec.

Pani Średniawa we wspomnianym nekrologu pisze, że Brońcia, tracąc siły w ostatnich latach przed śmiercią, źle znosiła bezczynność. Skarżyła się, że nie może pracować. A więc pani Średniawa, wówczas też już niemłoda i prawdopodobnie niezbyt sprawna, po starej przyjaźni odwiedzała ją w Zębie – od górnej stacji kolejki na Gubałówkę godzina drogi w jedną stronę.

*

Muzeum, założone ponad sto dwadzieścia lat temu, miało dotychczas dwoje wielkich dyrektorów, ludzi wszechstronnych, którzy wiedzieli, czego chcą, i z powodzeniem to realizowali: Juliusza Zborowskiego i Teresę Jabłońską – naukowców z dorobkiem, a zarazem sprawnych menedżerów, umiających dźwigać cały ten kram i nim sterować.

Zborowski, dyrektor w latach 1922-65, językoznawca, etnograf, historyk Podhala, był jednym z najwyższycenionych badaczy regionu, człowiekiem niezwykle popularnym i szanowanym. Objął niewielkie muzeum regionalne, zostawił instytucję o wybitnym znaczeniu dla kultury polskiej.

Jabłońska, zanim w 1991 roku została dyrektorką, pracowała w MT czternaście lat – zajmowała się ochroną zabytków *in situ* na Podhalu i polskim Spiszu, publikowała.

W ciągu dwudziestopięciolecia, jakie upłynęło od śmierci Zborowskiego do objęcia stanowiska przez Jabłońską, muzeum, mimo sporadycznych działań Tadeusza Szczepanka, dyrektora w latach 1976-91, obrosło mchem, zmieniając się w uroczy, przesiąknięty zapachem starzyny, pełen zakamarków strych w babcinej chatce, rupieciarnię z bogatą przeszłością. Nowy dyrektor w 2013 roku obejmie prężną instytucję o międzynarodowym prestiżu, największe i najslawniejsze muzeum regionalne w Polsce. Będzie musiał się nauwijać, by nie zwolnić tempa i nie obniżyć poziomu.

W latach 60. MT mogło zaoferować zwiedzającym słabiutką wystawę etnograficzną w budynku głównym, geologiczną (zbyt szczegółowa, niezrozumiała dla laika, zdaniem specjalistów anachroniczna), przyrodniczą

(mocno ją krytykowano) i dwa oddziały: chatę TEA oraz muzeum biograficzne Kornela Makuszyńskiego.

To się gruntownie zmieniło. Obecnie stałe ekspozycje Muzeum Tatrzańskiego stanowią konsekwentny ciąg, od tradycyjnej kultury ludowej do stylu zakopiańskiego i sztuki XX wieku. Ekspozycje geologiczna i przyrodnicza też zostały uwspółcześnione.

W zabytkowej części Zakopanego, przy Drodze do Rojów tuż obok ulicy Kościeliskiej, zrekonstruowano wnętrze tradycyjnej czarnej izby w chałupie Gąsieniców Sobczaków z lat 80. XIX wieku. Chałupa jest przykładem ludowego budownictwa, którym inspirował się Stanisław Witkiewicz, projektując budynki w stylu zakopiańskim. Można powiedzieć bez większej przesady, że stajemy tam w punkcie wyjścia niebywalej kariery Podhala. „Myśmy znaleźli górala w pysznej ozdobnej chacie, otoczonego artyzmem, który przeziął z każdego sprzętu, każdego szczegółu pospolitego użytku” – napisał Witkiewicz.¹⁸ Doprawdy, potrzeba było natchnionego wizjonera, by takie wnętrza nazwać „pyszną ozdobną chatą”. Ciekawe, kto z dzisiejszych zwiedzających, bogatszych o doświadczenie bez mała półtora stulecia, zdobyłby się na takie spostrzeżenie sam, bez podpowiedzi.

Obok, w białej izbie, kolekcja Marii i Bronisława Dembowskich, gromadzona w latach 1886–93, ofiarowana Muzeum Tatrzańskiemu w 1922 roku – obrazy na szkle, meble, lyżniki, rzeźby, stroje, sprzęt pasterski. Przedmioty te stanowiły bezpośrednie źródło inspiracji Witkiewiczowskiego stylu zakopiańskiego. Korzystał z nich również Władysław Matlakowski, opracowując *Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu*.

Pani Dembowska zastrzegła, że jej kolekcja ma być wystawiona w góralskim wnętrzu. Życzenie to spełniło się dopiero w 2009 roku.

Osoby zainteresowane kulturą dawnej góralszczyzny mogą poza tym zwiedzić oddziały MT: zagrodę Korkoszów w Czarnej Górze, zagrodę Sołtysów w Jurgowie i Muzeum Powstania Chochołowskiego w Chochołowie lub chałupę Klamerusów w Łopusznej.

Po obejrzeniu chałupy Sobczaka dobrze jest zejść ulicą Kościeliską, czyli dawną drogą wsi Zakopane, mijając dziewiętnastowieczne zagrody, by po chwili porównać je z willą Koliba, pierwszym domem w stylu zakopiańskim zbudowanym według projektu Stanisława Witkiewicza (1892-93). Mieści się tu Muzeum Stylu Zakopiańskiego. W 1984 roku, za dyrektury Szczepanka, MT przejęło rudę i przystąpiło do remontu, potem, już za Jabłońskiej, urządzono wnętrza. Oddział otwarto w 1993 roku.

W drugim końcu Zakopanego, przy ul. Zamoyskiego, stoi willa Oksza, najmłodszy oddział MT. To również przykład stylu zakopiańskiego, dzieło Stanisława Witkiewicza i góralskich cieśli (1895-96). W ciągu XX wieku budowla przechodziła rozmaite koleje losu, przez muzeum przejęta została w 2006 roku. W 2011

roku w jej wnętrzach otwarto wystawę *Zakopane – pępek świata. Sztuka pod Giewontem 1880-1939 roku*.

Jest też galeria na Kosińcu (duże wystawy), galeria Władysława Hasióra, cieszące się dużym powodzeniem muzeum biograficzne Kornela Makuszyńskiego i dwór w Łopusznej, gdzie miało powstać muzeum kultury szlacheckiej, ale trudne sprawy własnościowe wstrzymały te plany.

Ciągle brak stałej wystawy dzieł turystyki, ratownictwa i sportu, o co zresztą zabiegano jeszcze przed wojną. Miała powstać w sąsiadującym z muzeum historycznym budynku Dworca Tatrzańskiego, który byłby najodpowiedniejszy – lecz zwyciężyła mamona. Miejmy nadzieję, że chwilowo.

Niedawno staraniem MT ukazał się *Słownik Gwary Podhalańskiej*, dzieło życia Juliusza Zborowskiego. Ile było trudu i zachodu z wydaniem tej fundamentalnej publikacji, wiedzą tylko nieliczni. Niechaj tak pozostanie.

*

Gdy byłem młodszym asystentem, roilo mi się, że może kiedyś zostanę dyrektorem Muzeum Tatrzańskiego. Od kilku lat jestem członkiem rady muzeum, zabieram głos w sprawach działalności merytorycznej, ale czytając sprawozdania i słuchając dyskusji prawno-finansowych, nabrałem pewności, że nie udźwignąłbym tej funkcji, absolutnie nie dałbym sobie rady. Szanowna Pani Dyrektor, nisko się kłaniam, proszę przyjąć wyrazy podziwu.

Natomiast zakłula mnie zazdrość i nostalgia, gdy pochylałem się nad gablotą z wydawnictwami muzealnymi i publikacjami pracowników muzeum, wydanymi w innych oficynach. *Fotografie Tatr i Zakopanego 1851-1915. Obrazy na szkle XVIII–XIX w. Słownik gwary Zakopanego i okolic. Pomnik Tytusa Chałubińskiego. Zakopiańskie wodociągi i kanalizacja. Ludowe druki na płótnie z Podtatrza. „Rocznik Podhalański” – sześć tomów. Regionalizm, regiony, Podhale. Stanisław Witkiewicz. Ochrona Tatr w obliczu zagrożeń. Spór o Morskie Oko. Dom pod Jedłami. Tatry – czas odkrywców. Styl zakopiański. Rafał Malczewski i mit Zakopanego*. Tyle ich się ukazuje, jak świetnie opracowane! Chciałbym wydawać takie wspaniałe książki, ale cóż, urodziłem się o trzydzieści-czterdzieści lat za wcześnie.

Przypisy

- ¹ Kuba Szpilka, Maciej Krupa, Piotr Mazik, *Zakopiańczycy. W poszukiwaniu tożsamości.*, Wydawnictwa Tatrzańskiego Parku Narodowego, Zakopane 2011.
- ² *Błękitny krzyż*, 1955, reżyseria Andrzej Munk, operator Sergiusz Sprudin, scenariusz Adam Liberak.
- ³ Halina Ptakowska-Wyżanowicz, *Od krynoliny do liny*, wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1960.
- ⁴ Jan Kasprowicz, *Taniec zbójnicki*, wiele wydań.

- ⁵ Juliusz Zborowski, *Grand Hotel Muzeum Tatrzańskie* [w:] tegoż, *Pisma podhalańskie*, t. I, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972.
- ⁶ Wojciech Szatkowski, *Goralenvolk, historia zdrady*, Firma Księgarsko-Wydawnicza „Kanon”, Zakopane 2012.
- ⁷ Andrzej Krawczyk, *Janusz Berghauzen*, „Rocznik Podhalański”, tom 2, Zakopane 1979.
- ⁸ Andrzej Chojnowski, *Kartki z historii (historyków). Pierwszy biogram Józefa Kurasia*, „Newsletter”, Instytut Historii Uniwersytetu Warszawskiego 4/2008, nr 4.
- ⁹ *Podhale w czasie okupacji 1939-1945*, pod redakcją Janusza Berghauzena, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1972, wydanie poprawione 1977.
- ¹⁰ *Okupacja w Sądecczyźnie*, praca zbiorowa, Ministerstwo Sprawiedliwości, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Warszawa 1979.
- ¹¹ „Kultura” 1969, nr 34 (324), R: VII Warszawa, 24 sierpnia 1969.
- ¹² Zbigniew Moździerz, *Gmach Muzeum Tatrzańskiego*, Zakopane 2005.
- ¹³ Anna Liscar, *Jerzy Darowski (1930-2004)*, „Rocznik Podhalański” 2007, t. X, Zakopane 2007.
- ¹⁴ Jerzy Darowski, *Heródek*, „Polska Sztuka Ludowa” 1968, R. 22, 1968, nr 1/-2, s. 80-82.
- ¹⁵ Jan Bujak, *Herodek, artysta z Lipnicy Wielkiej*. „Przekrój”, nr 1154 z 21 V 1967.
- ¹⁶ Top., *Karol Wójciak i Muzeum w Rabce*. „Przekrój” nr 1156 z 9 VI 1967.
- ¹⁷ Helena Średniawa, *Bronisława Bartol Mulica „Marculka” (1906-1992)*, „Rocznik Podhalański” 1994, t. VI, Zakopane 1994.
- ¹⁸ Stanisław Witkiewicz, *Po latach*, 1906.



Teresa Jabłońska na vernisażu wystawy *Zakopiańczycy w poszukiwaniu tożsamości*.